

39894
ZESZYT 3.

ROK I. . . .

Kwartalnie

13 zeszytów

tylko

2 kor. 40 hal.

W ajencjach 2 kor. 70 hal.



Przedpłatę na „Tygodnik Narodowy” przysyłać należy przekazem pocztowym lub czekiem do Administracji „Tygodnika Narodowego” w Krakowie ulica Wiślna 2.

Kraków, dnia 16 stycznia 1910.

TYGODNIK NARODOWY

ILUSTROWANY

Rocznie (52 zeszyty) **9** koron. Półrocznie **4** kor. **80** hal.
Kwartalnie **2** kor. **40** hal. W ajencjach prenumerata kwartal-
nie **2** kor. **70** hal. Pojedynczy numer **24** hal.

Administracja „Tygodnika Narodowego”
w Krakowie, ul. Wiślna 2. Konto czekowe 112 905.



015242640

Magazyn bielizny Franciszka Martina

w KRAKOWIE Rynek główny l. 6 (szara kamienica)

poleca pończochy, skarpetki wełniane, bawełniane, fil de conce i jedwabne. — **Wielki wybór krawatów** dla Pań i Panów. — **Boa z piór**, szale jedwabne, gazowe i wełniane. — **Halki** w rozmaitych jakościach i kolorach, **reformy dla Pań** oraz **kompletne wyprawy ślubne**.

Towar doborowy.

Ceny niskie.

W niedziele i święta sklep zamknięty.

NOWO OTWORZONA KAWIARNIA „Casino”

w Krakowie, Rynek gł. l. 12

I-sze piętro.

... .. Sale bilardowe.
Szachy.
Pokoje do gier towarzyskich.
Czytelnia.

Polecając się łaskawym względem P. T.
Publiczności, pozostaję
z głębokim szacunkiem

Ludwik Franczek.

Nowość!

Nowość!

Torty Słowackiego

Adama Piaseckiego

w Krakowie, ul. Długa 12
Floryańska 2.

Najlepsze higieniczne

Towary gumowe

do celów sanitarnych

poleca

Reim i Spółka

Rynek 37. KRAKÓW Linia A-B.

Cenniki darmo. — Wysyłki dyskretne.



„Tygodnik Narodowy“ wychodzi co niedzielę. :: ::
Przedpłatę rocznie **9 kor.**, półrocznie **4 kor. 80 hal.**,
 ćwierćrocznie **2 kor. 40 hal.** — należy przysyłać na ręce
Administracji „Tygodnika Narodowego“ w Krakowie,
 ul. Wiślna 2. (biuro p. Hupeczyca). — W agencjach na
 prowincji prenumerata kwartalnie **2 kor. 70 hal.**

Ogłoszenia: Od wiersza 1-lamowego petytem **30 hal.**
 Przy większych i częstszych ogłoszeniach odpowiedni rabat.

W Krakowie przyjmuje ogłoszenia wyłącznie biuro pana
 Marjana Hupeczyca ul. Wiślna 2.

Konto czekowe poczt. kasy oszczędności No. 112 905.

W dniu otwarcia sejmu.

W chwili, gdy numer ten pójdzie na prasę drukarską, zbierze się Sejm, instytucja, która ma stać na straży dobra publicznego. Jak zwykle, tak i teraz patrzy społeczeństwo całe wyczekująco. Jak zwykle, tak i teraz wielkie czekają posłów naszych zadania. Jak zwykle, tak i teraz nad Izbą gromadzą się ciężkie chmury. A nawet cięższe, czarniejsze niż kiedykolwiek... Posłowie ruscy zapowiadają dalszy ciąg obstrukcji, która znajdzie zapewne silniejszy wyraz przy obradach nad budżetem. Reforma wyborcza nowe zapewne wywoła starcia, rozogni umysły. Sprawa Rady Narodowej musi się wreszcie po długiej dyskusji w dziennikach, rozstrzygnąć na terenie sejmowym. Również niezwykle zaciekawienie budzi sprawa przedłożenia przez kierowników Koła Polskiego rachunków z zawartej z posłami ruskimi i z rządem ugody co do rozdziałów subwencji hodowlanej na narodowość. Wreszcie dwie sprawy, choć bardzo przykre, będą musiały przyjść pod obrady: rabunkowa gospodarka posła Stapińskiego w Banku Parcelacyjnym, w tym banku, który sze-

rokiem kołom włościaństwa naszego obiecywał złote góry, a który w rezultacie był tego włościaństwa poważnie zagrożił, używając pieniędzy ich na cele partyjne ludowców; druga sprawa to projektowany Bank Przemysłowy, co do którego p. Marszałek krajowy i p. dr. Leo popełnili na własną rękę szachrajstwa z niemiecką „Niederösterreichische Escomptegesellschaft“, a z widomą krzywdą dla kraju. Sprawa jedna jak i druga dla winowajców będzie może niewymownie przykra, jednak Sejm stanąć tu winien na stanowisku na wskroś obiektywnym, powodując się jedynie interesem kraju i społeczeństwa. Dwa wrzody, których operacji Sejm będzie musiał się podjąć w imię zdrowia i dobra społeczeństwa. Tego spodziewamy się i żądamy od przedstawicieli narodu.



Nasze sprawy.

— *Namiestnik w obronie pruskiego przemysłu.*
 Do życzenia Berlina, wyrażonego za pośrednictwem ministra sprawiedliwości Hohenbergera, zastosowało się z zadziwiającą skwapliwością prezydium

namiestnictwa, występując ze znaną w podobnych razach energią przeciw bojkotowi towarów pruskich u nas. Dowody tej energii znajdujemy już w dwóch horendalnych wprost wypadkach: 1) dozorowanie przez komisarza w pełnym mundurze pogadanki prof. Milewskiego we Lwowie o bojkocie towarów pruskich, 2) aresztowanie człowieka, noszącego we Lwowie tablicę o niemieckiem pochodzeniu obuwia „Salamandra”. Sprawa bojkotu prusaczyzny to sprawa dla kraju całego pierwszorzędnej wagi, mająca na celu uprzemysłowienie kraju przez wyzwolenie przemysłu polskiego z pod wpływu nam wrogiego. Wyrażamy nadzieję, że to pogwałcenie naszej swobody spotka się w Sejmie z energicznym protestem.

— *Sejmik relacyjny posła Germana.* W początkach b. m. p. German urządził w Nowym Targu sejmik relacyjny ze swej działalności poselskiej. W przeszło godzinnem swem przemówieniu przedstawił tłumnie zebranym wyborcom ogólną sytuację w parlamencie, stosunek Koła Polskiego do innych stronnictw, sprawę traktatów handlowych itd. Wywody szan. mówcy przyjęto z wielkiem zadowoleniem, o czem świadczy na wniosek prof. Dziedzica jednomyślnie uchwalona rezolucya: Zgromadzeni na sejmiku relacyjnym p. posła dra Germana obywatele miasta Nowego Targu dziękują mu za wydatną pracę poselską w Radzie państwa, wyrażają mu pełne wotum zaufania za zasługi koło miasta położone, przede wszystkim za uzyskanie na gimnazjum subwencji rządowej w kwocie 50.000 koron, ze szczególną zaś wdzięcznością przyjmują do wiadomości jego działalność w kierunku łagodzenia waśni partyjnych w Kole polskiem, obniżających wobec obcych powagę narodu polskiego i apelują do prasy polskiej wszystkich odcieni, aby zaniechała wzajemnych napaści na osoby i stronnictwa. Wychodzą bowiem z tego założenia, że wszyscy Polacy mimo przynależności do różnych stronnictw dążą do jednego celu: odrodzenia i podniesienia kraju i całego narodu polskiego“.

— *Węgiel w środkowej Galicyi.* Z Gorlic donoszą nam: W powiecie tutajszym, w miejscowości Rzepiennik Biskupi, odkryto gruby pokład węgla brunatnego. Według opinii inżynierów charlottenburskich, którzy przeprowadzali poszukiwania, mamy w środkowej części kraju niewyczerpane bogactwa węgla o znakomitym składzie chemicznym i wielkiej sile kaloryi.

— *Kalendarz Polskiego Towarzystwa Emigracyjnego.* Nakładem P. T. E. wyszedł polsko-amerykański kalendarz na rok 1910. Jest to pierwsze i jedyne w swoim rodzaju wydawnictwo, sta-

nowiące niejako encyklopedyę ludową polskiego wychodźstwa. Oprócz mnóstwa praktycznych rad i wskazówek, niezbędnych dla każdego wychodźcy, zawiera Kalendarz P. T. E. obszernie artykuły informacyjne o widokach powodzenia dla wychodźców do Francyi, Danii, Szwecyi, Czech, Stanów Zjednoczonych, Kanady, Brazylii i Argentyny. Nadto zawiera Kalendarz P. T. E. szereg artykułów historyczno-ekonomicznych, mapki wymienionych krajów, oraz kilkadziesiąt ilustracji. Nizka cena, bo tylko 80 hal., powinna przyczynić się do rozpowszechnienia kalendarza w szerszych kołach inteligencji i włościanstwa.

— *Żydzi w Wschodniej Galicyi.* Jak dalece Żydzi stają się panami własności ziemskiej we Wschodniej Galicyi, dowodem następujące cyfry: Dopiero w r. 1868 pozwolono w Galicyi Żydom nabywać ziemię. Zaledwie rok upłynął od chwili wejścia w życie ustawy, a już 38 wielkich majątków przeszło w ręce żydowskie; w dwa lata później było w ich posiadaniu 68 wielkich majątków, w roku 1873 — 289, w r. 1899 — 680; obecnie Żydzi wykupili już 35 procent ziemi w Galicyi, a drugie tyle wzięli w dzierżawę, czyli połowa z góry wielkiej własności obecnie już jest w rękach żydowskich. Na 2000 wielkich majątków ziemskich w Galicyi 1100 znajduje się w rękach żydowskich, a po miastach i miasteczkach Żydzi już objęli wszędzie 50 procent wszystkich parcel w swe posiadanie. To są przygnębiające cyfry, dotyczące wielkiej posiadłości i miast; cyfry, odnoszące się do małych własności, są jeszcze więcej zastraszające. W ciągu 18 lat, tj. od roku 1874—1892 przeszło w posiadanie Żydów 43.000 małych ziemskich własności.

Jeżeli zważymy dalej, że co roku w Galicyi drogą publicznej licytacji sprzedaje się 2600 gospodarstw, wtedy łatwo skonstatujemy, jak okropne niebezpieczeństwo grozi małej posiadłości ziemskiej. Wartość sprzedanych majątków waha się w 8—9 milionach koron rocznie; główną zaś przyczyną tych licytacji są Żydzi. W trzech latach 1894—1897 Żydowski lichwiarze sprzedali 2856 wiejskich gospodarstw, w 1547 wypadkach licytacji zażądały banki żydowskie, Bank Krajowy tylko w 147 wypadkach, a urząd podatkowy w 319 wypadkach. Cyfry te wyjęte są z urzędowego spisu licytacji, znajdującego się we Lwowie.





Porwana przez Tatarów.

Ja słyszę... * * * * *

Z Maryackiej wieży brzmi hejnał...

Miasto huczy wrzawą i wirem, mijają się tłumy, gonią pojazdy, okna wystawowe wołają do kupna, śmiechy przechodzących mieszają się z skargą płaczących i smutnych...

Ja słyszę jednak głos inny... daleki... potężny... Fale Wisły szemrzą cicho...

Nad brzegiem rzeki ruch i praca. Robotnicy wywożą piasek, flisacy wyładowują kamienie lub węgle, chłopcy bawią się rzucając kamieniami, ludzie wracają z targu, liczą, gwarzą, spieszą.

Ja słyszę jednak głos jeden, cichy smętny.

Z Zygmuntowskiej wieży rozlega się śpiew dzwonu. Życie miasta nie zatrzymuje się ani

na chwilę... Z kominów dymy unoszą się jak brudne wstęgi... wozy naładowane cegłami jadą sypiąc kurz czerwony po ziemi, gwizdawki fabryczne huczą, lokomotywy sapią i spieszą dalej...

Ja słyszę jednak głos jeden, żalotny, posępny...

Od świtu do nocy tętno życia nie zatrzymuje się. Robotnicy spieszą do pracy, dzieci do szkoły, urzędnicy do biur, przemysłowcy i kupcy do zajęć, starsi jeszcze nie spoczęli, młodzi rwą się z zapalem i ogniem... czasu za mało, sił za mało, przestrzeni za mało... prędzej i prędzej...

Ja słyszę jednak głos jeden — posępny i groźny...

— Jest jedno co trwa...

Jadwiga S.

LAS GADA...

Wiecie co to dumanie?

A wiecie gdzie dumać najlepiej?

Gdyby jaki tyran duszy ludzkiej chciał wyrwać z serc i myśli wszystko marzenie, wszystką tęsknicę, gdyby chciał wzbronić wszelkiego rojenia, wszelkiej zadumy, musiałby przedewszystkiem wyciąć, wytrzebić, wykarczować wszystkie drzewa, od wierzby nadrzecznej do białowieskiej barci!

— I dopiero byłoby w duszach i na świecie głucho, bardziej głucho, niż bez ptasząt śpiewania, bardziej smutno, niż bez słońca i tak strasznie ciężko, jak kiedy się ostatnią łzę wypłacze! Byłoby jak wieczyste milczenie.

Bo nic w przyrodzie tak z człowiekiem i do człowieka w samotności, w trosce, w bólu zagaść nie potrafi, jak pierwsza lepsza drzewina, jak pierwszy lepszy borek, nic tak nie zagra do duszy, do serca, jak te harfy zielone!

A jeszcze u nas, na naszej ziemi!

Hej! hej! posłuchać jeno tej mowy, tego grania... bo drzewko ma swoją nutę! swój ton! swoje zawołanie! swą śpiewkę...

Od onej lipy czarnoleskiej poczynając, od onego dębu gaduły, co kozackiemu wieszczowi śpiewał, do grusz polnych, co „za stodołą, za Maćkową, rozsiadły się między płową“, ile to gadek, baśni, powiadań!

A sosny z „mentalikiem“? a wierzba, „w której dziwna tkwi siła!“ a brzośki! a choćby „chłop z pradziada“, jałowiec! A cóż dopiero las, bór co Adamowe wieszczby kołysał? Hej!

Powiał w młodym maju wiaterek od pola, uderzył w ciemną ścianę drzew borowych, rozbuźił, niby pogłowie ludzkie na procesyi...

Las gada... A każde drzewo po swojemu, niby inaczej, a wszystkie razem zajednako. I leci muzyka do serc ludzkich, jeno słuchać duszą! Każde drzewo mówi, każde inaczej, a wszystkie razem zajednako. Którego najmilej posłuchać — niewiadomo.

Na skraju lasu sosna staruszka. Obrazik Cęstochowskiej na niej niby relikwiarz na piersiach matrony. I sama, jak matrona, spokojna, dumna, wiatr nią nie robi, jeno czasem konary szerzej rozchyli, jakby chciała objąć i przytulić wszystko dokoła.

Zda się, nie mówi nic, ale przyłóż ucho do pnia starego... Gra coś, dziwnie gra, jakby z duszy, jakby pod popękaną korą serce biło.

Gra... gdzie nie słychać, gra... wszędzie. Nie jedną gałąską, nie odziemkiem, nie igliwem tylko. Cała sosna — jak harfa! Pień, odziemek, konary, szyszki, igliwie, nawet te krople żywicy, co niby lży, po pomarszczonej korze spływają, wszystko wraz jednym głosem woła. To smutnie, żałośnie, to znów jakby akordem wesela! A sosna stoi, nieporuszona, dumna — wielka pani! Wszystko w niej wielkie: i boleść, i radość, i smutki, i nadzieje. I wszystko w duszy na wewnątrz, nie dla obcego oka i ucha.

Wszystko w sobie, i dla siebie i swoich. Obok brzośka. Rozpuściła warkocze „niby wieśniaczka, niby matka, płacząca syna“... Bije od niej żalność straszna, ale już nie tak potężna spokojem.

Są nawet wesołe, bardzo wesołe brzośki, nikiej tanecznicze! Tylko im grać od ucha! to, nikiej dziewczka, świat jej karczma, wiaterek śpiewką, biała kora, kiej koszula, rozmamała się i... hula!

U takiej i o lży, i o wesele łatwo, podobnie jak u osiki. I w jej poszumie żalność jest, i smutek, ale jakby na pokaz. Trzęsie się to każdym listkiem z osobna, byle wiaterek ruszył, zawodzi, niby wdowa po stracie pierwszego, ale już jej się za drugim cni, i radaby płakać nie po jednym tylko. Byłe się trafił i secundo, i tertio voto: zapłacz.

A oto świerk-orator. Wyrósł nad tłum słuchaczy i organ donośny ma i gest zamaszysty. Powiał wiatr. On machnął zieloną kłasią, niby ręką, drugą wziął się pod boki. Gada i gada... a wywija i wywija... Czasem z czuba i zielonej czapki uchyli! i gada, gada mądrze; o zieloności o nadziei.

Niejedno pamięta, bo już ze sto lat na świat ten ze swego uroczyska patrzy, to go posłuchać warto. Nagle i on urwał oracyę. Zamilkł, bo tam, od puszczy głębokiej, powiało jeszcze silniej, doleciał jakby rapsod rycerski z bardonu wieszczą... To dąb zagadał.

I mówił długo, słuchany w ciszy, jak dziad przez prawnuki. Mówił choć wichur wył coraz silniej... Mówił o latach przeżytych, przetrwanych.

I słuchały go w zamodleniu wszystkie drzewa, od płoczej osiki do wyniosłej sosny, od krępego grabczaka do wielkiej wierzby nad strugą.

A tam na pustoci, na trzebieży, gdzie wichur dął zwałami piasku i kurzawą, stanęły chłopcy jałowce zwartym szeregiem i zasłaniały zieloną piersią las gadający, aby zły wiatr nie zgłuszył rapsodu. Taka im już dola...

Warto czasem posłuchać tego drzew gadania. Nastroi duszę niezgorzej dobrego słowa dobrych ludzi.

Kazimierz Laskowski.

Ostrożnie!

...Lubisz książki świeckie?
Ach! to są książki zbójckie.
Młodości mojej niebo i tortury!..
One zwichnęły osadę mych skrzydeł..
Mickiewicz.

Ostrożnie z książkami!..

Tak powinno się wołać na rodziców i przypominać, by czuwali nad tem co młodzież czyta.

Książki stały się teraz w ręku wrogów naszych tajemną i ukrytą bronią, którą w nas godzą i którą nas zabijają.

Planowo układane wydawnictwa zagraniczne, tłumaczenia dzieł pewnych autorów o tendencji dobrze ukrytej w treści na pozór obojętnej, to są książki „zbójckie“, jak wołał Mickiewicz i one osadę skrzydeł naszych zwichnąć mogą raz na zawsze.

W literaturze najnowszej nastrój jest zbyt jaskrawy, ażeby ócz nie czerwienił blaskiem tych

ogni, od których spalają się „przestarzałe“ zasady narodowe i od których w proch muszą spadać ideały „zacofanych“ Polaków.

Teraz się idzie z książką jak z pałąk zbrojecką. Walić i burzyć w proch, w miazgę, w popiół, w próchno rozsypywać to wszystko, co jeszcze nie poszło „naprzód“, co jeszcze rumieni się wstydem i jeszcze liczy z sumieniem...

Teraz się w formie artystycznej mówi o tem, o czem najcenniejsze masy w kałużach się nurzące szepczą między sobą — teraz się w literaturę wprowadza takie czyny, od których zgnilizna wieje i zaraza się szerzy.

Teraz się jako hasło stawia zdanie Nitzschego, iż „należy uszanować zwierze w człowieku“, teraz się nie przypomina o obowiązkach ludzi, lecz woła się na nich: — zdobywajcie wszystko dla siebie!...

Teraz popularyzowanie wiedzy stało się drogą do szerzenia zepsucia, „uświadamianie“ ma być pomocniczą, siłą do tego wiodącą, ażeby wszystko



Powrót od ślubu.

co brudne i nikczemne zostało uznane za naturalne i potrzebne.

Od Sherlocków Holmesów poczynawszy, które dzieciom są wciskane na każdym kroku, a skończywszy na owych arcydziełach t. zw. „młodej Polski“, których wydania idą w galopadzie nie-wstrzymanej niczem — literatura nowa zalewa nasze domy, czytelnie, biblioteki i wypożyczalnie, a nikt nie ma odwagi odezwać się śmiało i rzec: — dość tego!...

Rozwój literatury zależy nie od piszących, ale od czytających. Wstrzymajmy czytelnictwo rzeczy plugawych, trujących ducha narodowego, a wstrzymamy dżumę i zarazę mającą nas zabić. Lecz jakże to odezwać się i powiedzieć: — to szkaradne i brudne!... Zakrzyczą, zagłuszą, zatłumią, wyśmieją i rzekną: — Zacołani głosu nie mają!... Starzy niech milką!... młodzi świat biorą w ramiona!...

— My musimy pisać o najbrudniejszych rzeczach, ażeby do tych rzeczy zrazić, mówią jedni.

— My musimy odsłaniać najwstrętniejsze rany, ażeby o nich się społeczeństwo dowiedziało, rzekną drudzy.

Lecz czynią to w taki sposób i w takiej formie, iż zamiast wstrzymać, zachęcają do dalszego brudu i zamiast zniechęcić, wabiają bardzo do-wcipnie.

Nie jest rzeczą rodziców, wychowawców i opiekunów zakazywać tym lub owym „wielkim“ du-szom natchnionych literatów pisać na temat zgnilizny i ohydy.

Ale jest obowiązkiem rodziców i wychowawców wyrazić swój sąd i zapatrywanie na książki zbójcekie, które jak hordy krwi chciwe wpadają w nasze życie i zabijają ducha w narodzie.

Co dzieci nasze czytają?... Czy my wiemy?...

Dzieci umieją pożyczać, czytać, oddawać, przynosić, odnosić, a my obojętnie na to patrzymy.

— Czy wstrzymam falę? pyta ta lub owa matka.

Ani obojętnością, ani zakazywaniem nie wstrzymamy. Trzeba znaleźć inną drogę... i w tem nasza wina wielka, gdy nie umiemy tej drogi wyszukać.

Gdybyśmy my jednak na każdym kroku wyrazić umieli pogardę tej literaturze, która jest najemniczą chuci i służebnicą wrogów, gdybyśmy starali się o to, ażeby młodzież nasza była zdolną odrzucić od siebie to, co nie odpowiada godności ludzkiej i narodowej, toby owa fala nie była groźna i mybyśmy na czołach plamy nie mieli. Książki zaiste mogą być zbójcekie i spustoszenie większe od zarazy przynieść mogą.

Ostrożnie zatem rodzice i wychowawcy!...

Nie myślimy, iż z przeczytaną i oddaną książką kończy się jej działanie.

Obyśmy nie za późno zrozumieli, czem są złe książki!

Jadwiga S.



Krwawa karta.

Gdy przeglądamy dzienniki warszawskie z kilku ostatnich lat, wyznajemy szczerze, że serce nasze ból ściska serdeczny. Tyle krwi żywej spłynęło, wytoczonej ręką zbrodniarza! Od rozpoczęcia się owego po wojnie rosyjsko-japońskiej, ruchu rewolucyjnego, wywołanego i podsycanego przez socjalistów różnego autoramentu, nie było prawie dnia, w którymby kroniki warszawskie nie notowały bądź to wypadków śmiertelnych wynikłych z walki bratobójczej, bądź też napadów bandyckich i t. p. Wskutek tego nieszczęsnego ruchu rewolucyjnego, z nor ciemnych, z zaułków przedmiejskich wylały się wszelkie szumowiny społeczne na ulice i drogi wszelkie, i spowodowały straszne dzieło zniszczenia. Bandytyzm — oto krwawy owoc rewolucji socjalistycznej w Królestwie Polskim. I aczkolwiek się rozmiary jego znacznie zmniejszyły, faktem jest, że istnieje po dziś dzień jeszcze.

Przekonywują nas o tym liczby, zebrane przez dr. Kazimierza Niedzielskiego z Warszawy. Oto według jego „kroniki anarchistycznej“ w r. 1909 poszkodowanych według zajęć, wyznania i wieku było 173 osób, a mianowicie: osób profesyi wolnej 28 (w tem zabitych 9); rzemieślników 26 (zab. 4.); robotników 43; (zab. 10); urzędników policyjnych 15 (zab. 6); żołnierzy 1; osób o zajęciu nieznanem 18 (zabitych 5); osób bez zajęcia 13 (zabitych 2); rabusiów i złodziei 29 (zabitych 16). Ogółem 173, w tem zabitych 52. — Według wyznań: katolików 128, prawosławnych 10, protestantów 3, żydów 24, religii nieznaney 8. — Według lat poszkodowanych do lat 15 było 10, od lat 16 do 20 — 30, od lat 21 do 30 — 75, od 31 do 40 — 28 i powyżej lat 40 było 30.

W tem poszkodowanych przez wojsko bądź urzędników policyjnych — osób 38; przez ludzi prywatnych — 135. Dodać należy, że z owych 38 zabitych bądź ranionych przez policyę 21 byli to złodzieje i rabusie z profesyi. Po uwzględnieniu szczegółowszem zajęcia osób poszkodowanych wypadnie, że ofiarami nieopanowanego dotąd jeszcze doszczętnie zamętu padło w Warszawie w ciągu



OCIEMNIAŁA.

roku zeszłego: 4 właścicieli domów, 6 kupców i fabrykantów (zabitych 2), 3 inżynierów i urzędników (zab. 2), 1 lekarz, 3 kasjerów (zab. 1), 1 subiekt (zabity), 4 majstrów fabrycznych i dozorców robót (zab. 2), 1 listonosz (zabity), 9 stróżów domów (zab. 1), 1 włościanin i t. d.

Wypadki *bandytyzmu* dosięgły 228 w samej tylko Warszawie. Wysokość sum zagrabionych, o ile wierzyć można zeznaniom ofiar, wynosi w gotówce 20,150 rb. 70 kop., nie licząc straconej biżuterii, towaru, lub innych rzeczy wartościowych. Z bandytów zginął tylko jeden skutkiem oporu ze strony napadniętego. Schwymano rabusiów na gorącym uczynku 63.

Zajść zbiorowych na tle anarchii rewolucyjnej było 2 tylko, t. j. pierwsze w d. 28-ym września — napad na ul. Średnio-Młynarskiej i 30-go września — napad na składy kolei nadwiślańskiej, oraz wywiązana stąd strzelanina na ul. Wołowej. Ogółem ofiarą tych katastrof padło osób 9, z tych 5 trupem na miejscu.

Z wyroków okręgowego sądu wojennego, o ile z gazet wiadomo, powieszono w cytadeli warszawskiej osób 27. O liczbę tę należy zwiększyć zatem statystykę ofiar roku ubiegłego. Jeżeli do sumy powyższej dołączymy słynne z obfitości swej bójki na noże, których w Warszawie za ów czas było 390, liczba ogólna ofiar wzrośnie naówczas do 590, w tem — 80 zmarłych. Po dodaniu liczby tej do obliczonej ostatnio dla roku 1908 (5,028), otrzymamy liczbę ostateczną — 5618 ofiar zamieszek w samej Warszawie tylko.

Do powyższego wykazu dołączyć należy i statystykę *samobójstw*, pozostających w związku niewątpliwym z wypadkami lat ostatnich rewolucyjnych, zależnie od podniecenia umysłów i biedy. Ilościowo wypadki samobójstw rosną z roku na rok i gdy w r. 1908 dosięgły cyfry bardzo wysokiej, bo 326, w r. 1909 doszły do 399 (198 samobójców i 201 samobójczyń), w tem 70 zgonów na miejscu. Społeczna plaga ta dziś już nie oszczędza nikogo, godzą bowiem na życie własne i ludzie starzy, inteligencya i nieinteligencya, biedni i bogaci.

Rok ubiegły odznaczał się poza tem mnogością kar pieniężnych, nakładanych na wydawnictwa i pisma za przewinienia cenzuralno-prasowe, co znowu dowodzi, że czarna sotnia bierze górę w *razdzie* rosyjskim.

O wychowaniu dzieci zaniedbanych w Danii.

Jednem z najważniejszych zadań każdego społeczeństwa jest opieka nad zaniedbanymi dziećmi. Wiele to bowiem latorośli, które wzrastają w atmosferze życia występnego, przepada dla społeczeństwa raz na zawsze, powiększając szeregi zawodowych zbrodniarzy. A przecież dzieci tych licznych niestety wszędzie nędzarzy, po usunięciu ich od zgubnych wpływów otoczenia i czasowym umieszczeniu w specjalnie na ten cel ufundowanych zakładach, możnaby uratować od zatury i wychować na ludzi uczciwych i pracowitych.

O podobnych zakładach pomyślała już dawno Dania, a dzieło to uwieńczone zostało przepięknym rezultatem. Poucza nas o tem jeden z profesorów niemieckich, który zakład taki w Danii osobiście zwiedził, i wrażenia odniesione w barwnym podał opisie.

Na dużej łodzi — pisze ów profesor — dwunastu chłopców mających 10—15 lat, w ładnym stroju wioślarskim, śpiewających wesołą piosnkę ku sławie Danii, podczas gdy przytem świeży, przyjemny wietrzyk powiewał, a promienie słońca błyszczały na falach zatoki morskiej — oto nastrój usposabiający do dumania. I dumaliśmy istotnie. Zdawało nam się, jakobyśmy zwiedzali nowy rodzaj zakładu wychowawczego, gdzie się wychowuje systematycznie według nowych zasad dzieci zamożniejszych warstw społeczeństwa. Krótko przedtem chłopcy mieli lekcję szkolną, podczas której opowiadali o swoim życiu wśród lata i o swoich projektach na porę zimową. Przytem niektórzy pokazywali nam swoje zbiory rozmaitych kamieni, znalezionych na brzegu zatoki morskiej. Większa część chłopców miała herbaryum, inni zajmowali się robotą snycerską albo plecieniem koszyków, aby je podarować na Gwiazdkę swoim krewnym.

O duchu rodzinnym, jaki tam panuje, świadczą radosne okrzyki i wesołe powitanie 40 chłopców, otaczających nasz powóz, gdy przyjechaliśmy z ich przełożonym, który powrócił z kilkodniowej podróży. Po wspólnym obiedzie chłopcy z nauczycielami radzili nad tem, co gościom pokazać. Każdy chłopiec mógł spokojnie wypowiedzieć swoje zdanie. Ostatecznie zgodzono się na to, aby nam pokazać oddział wioślarski. Przy ogłosie piszczałek i bębnow ruszył oddział pod komendą, aby wstąpić na łódź, i chłopcy z promiejacemi radością oczami zaśpiewali piosnkę.





WIDOK Z TATR.

Musieliśmy się zbudzić energicznie z zadumy, aby sobie uprzytomnić, że to byli chłopcy oddani na przymusowe wychowanie. Przysłała ich tu duńska Rada opiekuńcza na pół roku, aby ich w zakładzie obserwowano a potem powierzono odpowiedniej rodzinie na wychowanie albo w naukę terminatorską. O tem ma zdecydować na podstawie owej obserwacji wyższa Rada opiekuńcza

Zakład zbudowało w r. 1900 jedno z wielkich Towarzystw w Danii. Od r. 1905, t. j. od czasu wydania nowej ustawy wychowawczej coraz więcej korzysta z tego zakładu wyższa Rada opiekuńcza. Szerokie, jasne okna zakładu całe zastawione kwiatami. Wewnętrzne urządzenie proste, ale miłe i bardzo gustowne. W szkole zbiory doskonałych środków naukowych, materiały pogładowy z życia zwierząt i roślin, aparaty chemiczne i fizyczne oraz zbiory geologiczne, założone wspólnie przez nauczycieli i uczniów. Z klasy szkolnej przeszliśmy do warsztatów słojejd. Nauka słojejd oznacza się tu systematycznością, podczas gdy domowe roboty rzemieślnicze, wyrabianie mioteł, szczotek, koszyków, narzędzi domowych ma na celu raczej jakieś przyjemne i swobodne zajęcie. Cały czas się dzieli na trzygodzinną naukę szkolną, słojejd, robotę domową, zabawę, przyczem jest wiele sposobności do obserwowania chłopców. Niedawno pomagali chłopcy przy budowie pralni i przy wewnętrznym jej urządzeniu. Zbudowali też pomost, sto metrów długi, do łodzi na zatoce morskiej. Co sobotę odbywa się obrachunek, aby wyznaczyć małą nagrodę pieniężną dla tych chłopców, którzy wykonali jakiś sprzęt dla zakładu. Z tych pieniędzy zakupują sobie chłopcy materiały surowy do wyrobów rękodzielniczych, przeznaczonych na podarki dla rodziców. Przy tej sposobności poznają wartość materiałów surowych.

W całym życiu uwydatnia się przyjaźń między nauczycielami a uczniami i wzajemna ufność. O ile to tylko możliwem, przyznaje się chłopcom największą swobodę. Zakład ma w nich wykształcić silną wolę do prowadzenia życia uczciwego, choćby i w najtrudniejszych warunkach. Podobnych zakładów jest w Danii kilkanaście. Pobyt w nich dla dzieci jest przyjemny. Wiele dzieci w Kopenhadze np. odwiedza rodziców w dni świąteczne; nadmienić tu bowiem należy, że duńska Rada opiekuńcza przy odbieraniu rodzicom dzieci nigdy nie używa przemocy, działając zawsze za zgodą ich.

W ten sposób Dania stała się jednym z nielicznych krajów, w którym liczba złoczyńców jest bardzo mała.

Koniec świata.

Pod koniec grudnia pojawiła się w prasie paryskiej sensacyjna wiadomość, przez jakiegoś „uczonego“ francuskiego podana, że niebawem ludzkość przygotowaną być powinna nie mniej, nie więcej jak tylko na... koniec świata. Wiadomość tę przekolportowano lotem błyskawicy do Królestwa, wywołując u jednych śmiech serdeczny, u innych zaś grozę. Tych „innych“, jak wogóle na całej kuli ziemskiej, tak samo i u nas — znalazło się bardzo wielu. Strach więc szerokooki zaciskał gardła i przybierał coraz to większe rozmiary. Aby tedy zaniepokojony ogół uspokoić pewien dziennik warszawski urządził wywiad ze знаменитым astronomem warszawskim, profesorem Gabryełem *Tołwińskim*. Oto, co astronom polski mówi o kometach i „końcu świata“:

Ciało komet różni się całkowicie od planet. Nie są one ciałami stałymi, lecz raczej zbiorowiskiem nieznacznej wielkości ciał, utrzymywanych w określonych granicach przez wzajemne przyciąganie i siłę odśrodkową. Dotyczy to naturalnie głowy komety. Warkocz zaś komety i kształt jego powstaje na skutek zbliżenia się do słońca. (Komety, znacznie oddalone od słońca, nie posiadają warkoczy). Działają tu: siła odpychająca i siła przyciągająca. Pierwsza powstaje wskutek wzajemnego, jednoimiennego naelektryzowania, druga zaś, wytwarzająca trzy typy warkoczy, na skutek przyciągania słońca, zależnego od części składowych, które wchodzi w skład wytwarzającego się warkocza. A więc: z wodoru proste, z węglowodorów nieco zakrzywione, z pary metali ciężkich silnie zakrzywione. Powyższe rozdzielenie na trzy rodzaje warkoczy komet, jest zasługą uczonego rosyjskiego Bredichina.

Sposób krążenia i drogi tych rzadkich ogoniastych gości są następujące: Przeważnie komety zjawiają się nieoczekiwanie i znikają w przestworzach niebieskich, aby nigdy nie powrócić. Jednakże, jeżeli któraś z komet w swej podróży tułaczniej zbliży się nadto do którejś z wielkich planet lub do słońca, to ulega jej przyciąganiu i pozostaje na wieki niewolnikiem, otrzymując drogę prawie stałą, formy elipsy. Całość komety składa się: z punktu środkowego czyli jądra (głowy) mniej lub więcej błyszczącego; dokoła niego — biały obłoczek, wyciągnięty w długą smugę, czyli warkocz.

Najpiękniejsze i najwidoczniejsze komety ubiegłego stulecia były w r. 1811, 1843, 1858 (przedziwnej piękności kometa Donati), 1861, 1874,



WYMARSZ NA WOJNĘ.

1880, 1881, 1882. Kometa z r. 1843 była takiej jasności, że widać ją było w białym dniu koło słońca. Jak więc widać z powyższego, ostatni gość ogoniasty, napędzający tyle strachu ludziom, ukazał się w r. 1882.

Po 27-u więc latach zjawi się ponownie na firmamencie kometa o groźnym wyglądzie, jednakże na złość prorokom, tak, jak inne, zupełnie nieszkodliwa. Nowy ten „potwór” nosi nazwę *komety Halleya*.

Kometa Halleya ukazuje się perjodycznie co 76 lat. Po raz pierwszy zaobserwowano ją w roku 1531. Następnie ukazała się w roku 1607, 1682. Przepowiedziano potem ukazanie się tej komety na rok 1758, jednakże opóźniła ona swe zjawienie się i przeszła przez punkt przysłoneczny (najbliższy słońca), dopiero 12 marca 1759 r. (opóźnienie takie wywołuje zbytne zbliżenie się komety do któregoś z ciał niebieskich). Następnie zjawiała się ona w 1835, a w roku bieżącym oczekiwana jest w punkcie przysłonecznym dnia 20 kwietnia. Zjawienie się komety Halleya odkryte zostało przed 2 miesiącami, drogą fotograficzną, przez Wolffa w Heidelbergu. Dla spostrzeżeń bezpośrednio przez teleskop jeszcze nie jest należycie dostępna.

Na zapytanie zaś, czy są możliwe jakoweś zaburzenia w naszej atmosferze z powodu zetknięcia się ziemi z komętą Halleya i czy tego rodzaju zetknięcie jest możliwe, prof. Tołwiński oświad-

czył, że gdyby zetknięcie się ziemi nastąpiło z samą głową komety, wtedy możnaby oczekiwać pewnego rodzaju zaburzeń, jednakże niezbyt zresztą groźnych, w tym jednak wypadku jest to *zupełnie wykluczone*. Co się zaś tyczy warkocza, to według ścisłych obliczeń, jeżeli będzie dłuższy nad 40.000.000 kilometrów, może osiągnąć naszej planety. Nastąpiłoby to w końcu maja. Jednakże żadne z tego powodu nie grozi nam niebezpieczeństwo, skład chemiczny bowiem warkocza komety wskazuje na zupełny brak pierwiastków trujących, a rozrzedzenie gazów, z których składa się warkocz, jest tak kolosalne, że, jak się wyraził jeden z najpoważniejszych uczonych astronomów: gdyby zgęścić masę warkocza komety, to otrzymaną całość utrzymałoby małe dziecko w piąstce.

Dla tego też nie może być mowy ani o rozgrzaniu się naszej atmosfery, ani o szkodliwych związkach chemicznych, które wytworzyłyby się przy tem spotkaniu. Były już wypadki, że ziemia pozostawała przez kilka godzin w warkoczach komety. Zdarzyło się to mianowicie 26 marca 1819 r. i 30 czerwca 1861 r. A jednakże nikt na to nie zwrócił uwagi i dopiero w jakiś czas stwierdzili to astronomowie. Jeżeli więc podobny fakt zajdzie w tym roku, *to bez żadnego wpływu na stan fizyczny naszej kuli ziemskiej*, wyjąwszy, rzecz prosta — stanu psychicznego ciemnej ludności, która straszona przez nieuczciwych spekulantów, może w tym spotkaniu dopatrzyć się „Końca świata”.

TO I OWO.

10 przykazań dla ciała i ducha.

1. **Podział dnia.** Staraj się 8 godzin pracować, 8 spać, 8 zużytkować na rozrywkę i posiłek. Pracę, posiłek, sen i rozrywkę przeplataj umiejętnie, aby ci korzyść przyniosły.

2. **Praca!** Pzzyzwyczaj się do pracy zamięłodu. Jeżeli na chleb zarabiasz pracą fizyczną, to rozrywki szukaj dla ducha i odwrotnie: jeżeli żyjesz z pracy umysłowej, to w wolnych chwilach uprawiaj zajęcia fizyczne. Rób wszystko z namysłem, celowo i dokładnie. W każdym zajęciu rób przerwy, gdy cię nużyć zaczyna — unikaj pracowania.

3. **Posiłek!** Większą część pokarmów twoich powinny stanowić potrawy mączne, owoce i jarzyny, mniejszą zaś — pokarmy, pochodzące od zwierząt. Odpowiednia ilość tłuszczów, mleka,

masła, sera, jaj, grochu, orzechów w zupełności może zastąpić mięso, jeżeli wyrzec się go masz ochotę. Nie jedz prędko i nie polykaj gorącego.

4. **Sen!** Chodź spać przed godziną 11-tą i wstawaj przed 7-ą. W sypialni nie powinno być duszno, ciasno i gorąco — nawet zimą.

5. **Rozrywka!** Rozrywką może być każde zajęcie, któremu poświęcamy się z upodobaniem; pozatym: muzyka, śpiew, taniec, czytanie, stosunki towarzyskie, gry, wycieczki, podróże, gimnastyka, szermierka, jazda na rowerze, wiosłowanie, pływanie itp. Żadnej rozrywki nie doprowadzaj do przesady i przesytu.

6. **Hartowanie się!** Zdrowie utrwalać nie tylko pracą, posiłkiem, snem i rozrywką: stosuj chłodną wodę do obmywania całego ciała, chodź boso, a nawet nago, jeżeli masz gdzie, zwłaszcza na



Marzenie.

słońcu; ubieraj się lekko i tylko do jazdy w zimniejszej porze roku — ciepłej.

7. **Umiarkowanie we wszystkim!** Unikaj wszelkich nienormalności i nadużyć, tak w pracy, jak w jedzeniu, śnie i rozrywkach; unikaj długiego siedzenia na jednym miejscu, zwłaszcza w powietrzu zanieczyszczonym. Unikaj nadmiernych podnieć umysłowych i zmysłowych, długich rozmów i sprzeczek o jedno w kółko! Nie pal, nie pij, ukróćaj namiętności!

8. **Odporność!** Nie poddawaj się przeciwnościom, ufając w siły nawet wtedy, gdy ci się zdaje, że cię zupełnie opuściły. Umyślnie wystaw się od czasu do czasu na cierpienia lub ciężary, a przekonasz się, że siły są i że pomnożyć je można!

9. **Kształć ducha!** Unikaj złych wpływów. Zasieraj czyn, a uzbierasz nawyknienia, zasiej nawyknienia, a uzbierasz charakter! Bądź wytrwałym, samodzielnym, energicznym, obrotnym! Bądź w zgodzie z sumieniem!

10. **Żyj dla drugich!** W stosunku do świata i ludzi kieruj się wyrozumiałością, dobrocią, czynnością, poświęceniem, szczerością, taktem i pogodą! „Miej serce i patrzaj w serce!”



Ulepszenie smaku jaj.

Każdy rodzaj ptactwa znosi jaja nietylko rozmaitej wielkości, odmiennego wyglądu, ale i smak ich jest bardzo odmienny. Ale także ptaki tego samego gatunku i odmiany znoszą jaja o rozmaitym smaku i zapachu. Zmienność tę można uważać jako właściwość rasy a także, jako indywidualność. Co do jaj *kurzych*, które z natury rzeczy są dla nas najważniejsze, to różnią się one w smaku nie tylko od jaj *kaczyc*. gęsi i t. p., ale jest on zależny także od rasy, wieku, stanu zdrowia, od sposobu żywienia, utrzymywania i pielęgnowania. Objawia się to w mniejszym stopniu na białku, jak na żółtku. Delikatność smaku szczególnie daje się zauważyć po zgotowaniu ich na miękko, mniej zaś u jaj surowych. Jaja pochodzące od kur rasy francuskiej „Hondoras” cenione bywają, jako najsmaczniejsze, poczem następują Hamburgskie, Brahmaputra i Kochinchiny. Dobry stan zdrowia kur, jest głównym warunkiem produkcji jaj bez zarzutu. Jaja od kur wychudłych mają białko wodniste, bez żadnego smaku; młode kury znoszą mniej smaczne jaja, niż kury starsze, tak samo jaja pochodzące od kur bardzo nośnych są mniej dobre. Przez żywienie można wpływać

na dobro jaj. Pokarm bogaty w azot podnosi wielkość i ciężkość i wartość pożywną zawartości jaja; pokarm tłusty działa wprost na zawartość tłuszczu a przytem na smak i aromat jaj. Dlatego też dobre nasiona olejne a przede wszystkim ziarno słoneczników wpływa na produkcję jaj aromatycznych. Unikać jednak należy skarmiania wytlóków ziarn olejnych (makuchów), w których resztki pozostałej tłustości są zwykle zjełczałe. Nie przydatną karmą dla kur jest moczony ale spleśniały chleb, stęchłe zboże, gdyż nadaje to zły smak jajom. To samo stosuje się do nadpsutej mąki rybnej, do skarmiania wielkiej ilości ryb i chrząszczy. Kaczki, które wszystko możliwe pożerają, znoszą jaja często nie do użycia. Przy wyłącznem żywieniu kur zbożem, smak jaj jest mdły, a żółtko blade; żołądek sprawia cierpki posmak jaj. Pożywna, miękka pasza z gotowanych i pogniecionych kartofli i śrutu zbożowego, przytem zielenina z sałaty, szpinaku, koniczyiny, młodej trawy, siekana pokrzywa, wreszcie dodatek ziarna jak jęczmień, owies, przenica, (kukurudza w większych dawkach wstrzymuje nośność), oto jest sposób żywienia, który dostarczy nam jaj dobrych. Woda użyta za napój musi być czysta i bez zarzutu. Kury, które mają swobodny ruch i wiele robactwa i zieleniny zjadają, znoszą jaja o żółtkach pomarańczowych, tłuste i smaczne; podczas gdy kury mające mało ruchu a żywione głównie ziarnem, niosą jaja o bladym żółtku i niesmaczne, jednak i od tych ostatnich można mieć dobre jaja, gdy żywienie będzie odmienne i więcej urozmaicone. Ażeby uzyskać jaja aromatyczne i smaczne, niektórzy postępują tak, że przekładają jaja aromatycznymi przedmiotami jak np. świeżem sianem, prochem siennym albo roślinami woniejącymi. Jaja muszą jednak całkiem sucho być przechowane, gdyż w przeciwnym razie pleśnieją i łatwo ulegają zepsuciu. Jaja znoszone w nieczystych gniazdach albo stęchłej słomie nabierają wstrętnego smaku i zapachu.



Rozwydrzenie kobiet amerykańskich

przechodzi już wszelkie granice, gdyż za lada blahym powodem rwą one węzły małżeńskie, zwłaszcza, że sądy tamtejsze najczęściej uwzględniają ich wybryki i rozvodu udzielają chętnie, jakby to była igraszka z najświętszych uczuć człowieka. Jedna z „wielkich dam” grodu chicagoskiego wniosła podanie do sądu wyższego o rozwód od swego małżonka motywując swoje żądanie

faktem, że mąż więcej się bawi... swojemi kurami i końmi niż nią. Ale poza rozwodem żąda ona także, 150.00 dolarów miesięcznie alimentów, aby nie mając męża, mogła sobie żyć wesoło za jego pieniądze. Skarży się też biedaczka, że nieczuły mąż nie brał jej do teatru przynajmniej trzy razy tygodniowo i nie sprawiał jej sukien przynajmniej takich jakie mają milionerki amerykańskie. Druga znów biada, że mąż nie chciał jej dać 300 dolarów na zakupno prezentów gwiazdkowych, będąc od niego silniejszą, wygrzmociła nieboraka a w dodatku żąda od niego rozwodu, naturalnie z wypłatą alimentów. Podobnych kobiet jest w Ameryce tysiące. Stosunki nie do pozazdroszczenia.



Kraj bez zwierząt domowych.

Krajem bez zwierząt domowych jest Japonia. Japończycy nie jedzą mięsa, ani nie piją mleka, a stąd też krowa w gospodarstwie domowym żadnej nie ma wartości. Japończycy nie jeżdżą też konno: wozy ich na dwóch kółkach ciągną ludzie a najemnicy dźwigają ich tobołki.

Niema tam też osłów, mułów, ani innych zwierząt jucznych. Psy są wprawdzie w kraju w znacznej ilości, ale w stanie dzikim jedynie. Japończyk nie oswaja psa, nie potrzebuje go bowiem do polowania ani też do stróżowania domowego. Pies oswojony, jeżeli się napotkają w Japonii, należy niewątpliwie do cudzoziemca. Owiec, kóz i świń Japończycy nie hodują zgoła; wełnę, którąby dostarczać im mogły barany, zastępują jedwabiem, tam nader tanim. W gospodarstwach japońskich rzadko widzieć można kury, a rzadziej jeszcze kaczki i gołębie; hodują je tam na potrzeby cudzoziemców. Niektórzy właściciele w okolicach Teddo utrzymują woły, ale bynajmniej w celach gospodarstwa wiejskiego, lecz jako zwierzęta, które ciągną wozy pogrzebowe członków rodziny mikada i innych dygnitarzy.



„Strachy” w gorzelni.

Pod miasteczkiem Chodecz w pow. włocławskim przy szosie stoi pustką budynek po gorzelni. Budynek ten wybrali sobie jacyś ludzie, zdaje się, przemytnicy, na skład kontrabandy. Aby zabezpieczyć się przed okiem ciekawych, obmyślili stary sposób, znany nawet w operetkach.

Oto, od pewnego czasu w gorzelni o północy, skoro tylko pierwszy kur zapieje, ukazują się światła, słychać złowrogi brzęk łańcuchów, widać

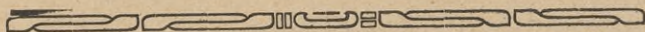
zdala jakieś cienie duchów itp. Rozumie się fantazyja ludu dodaje tu moc jaskrawych kolorów, przesąd co do dusz pokutujących robi swoje, więc w okolicy aż wre i wszyscy z daleka omijają miejsce, będące w rękach duchów piekielnych. Na dobitkę służba folwarczna opuściła miejsce „nawiedzone”.

Wiara więc w „strachy” wśród ludu naszego kwitnie, jak za dobrych, dawnych czasów.



Katastrofa na Marsie.

Od dłuższego czasu Mars jest widownią ciągłych zmian noszących charakter katastrofy. Już od kilku lat zachodzi ciekawe zgięcie biegunów; również zagadkowa jest ustawiczna zmiana konturów t. zw. jeziora słonecznego, plamy mniej więcej wielkości Francji, otoczonej licznymi kanałami. Plama ta raz okrągła, to owalna dwoi się i troi, równomiernie zmieniają się także kanały. Zdaniem francuskiego astronoma Flammariona dowodzi to zresztą nie bliskiego zamarcia planety, lecz owszem wybitnej jego żywotności.



Złote ziarna.

(Przysłowia hiszpańskie).

Każdy zły człowiek swoją złą godzinę mieć będzie.

Kto o niczem nie wątpi, nic nie wie.

Gdy nieszczęście zasypia, nie budź go.

Pszczoła wszystko w miód, pajak wszystko w truciznę zamienia.

Kto wszystko obiecuje nie dotrzymuje.

*Bądź niemy, gdy dałeś
Gadaj, gdy odebrałeś.*

*Uciekaj na chwilę przed rozgniewanym
Przed skrytym na zawsze.*

*Nie służ temu, który służył,
Nie proś tego, który prosił.*

Dzielmy się bracia. Moje dla mnie, twoje dla nas obydwóch.

DLA DZIECI.

Zgoda w rodzinie.

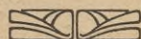
Jakież to piękne rodzinne życie,
Kiedy z dziecięciem zgadza się dziecię;
Gdy wszyscy żyją w zgodzie, jedności,
Nie słyhać kłótni, nie słyhać złości,
Jedno drugiemu chętnie ustąpi,
Jedno drugiemu pieszczot nie skąpi,
Jedno drugiemu na pomoc spieszy,
I jedno drugie w smutku pocieszy!
Rodzice patrząc na taką zgodę,
Za swą troskliwość mają nagrodę;
Bo cóż miłszego: jak gdy dziecinie
Wcześniej się dobre w sercu rozwinie?

Stanisław Jachowicz.



Piosnka.

I gdzieindzi j żyją ludzie,
Mają wsie i miasta,
I gdzieindziej między ludźmi
Chwała Boża wzrasta;
I gdzieindziej pięknie, ładnie,
Słońko jasno płonie,
Ale dla mnie już najładniej
Tu w rodzinnej stronie.
Niech kto sobie gdzie chce leci,
Hen! poza granicę
Ja zostanę między swemi
Na calutkie życie. *W. Chojcecki.*



Hela i kurki.

Hej, kureczki, hej! kogutki,
Spieszcie, spieszcie do Helutki,
Dam wam ziarenek i bułeczki,
Cip, cip, moje kochaneczki.
Leci cała już gromadka,
A na cele kto? czubatka!
Ona zawsze w pierwszym rzędzie,
Czy w podwórzu, czy na grzędzie.
Dalej, dalej, szybko jedzcie,
Czy nie dobre, co? powiedzcie!
No, pewno wam dosyć dałam,
Cały koszyk wysypałam.
Patrzcie, zjadły już śniadanie,
I dziękują teraz za nie,
Wszystkie razem w swym języku:
Ko, ko, ko-ko — Kukuryku!

Skrucha Józia.

Co to Józia tam zrobiła,
Że się tak za drzewo skryła,
I oczki się podnieść wstydzi?
Myśli, że jej nikt nie widzi!

Wiem ja, wiem, co to za sprawa;
Panna była zbyt ciekawa,
Co tam mieści słoik który,
I wyjadła konfitury!

Ach! jak brzydko! jak nieładnie!
Jak na sercu jej niemiło!
Každy teraz ją zagadnie:
Panno Józiu! jak to było?

Nikt nie widział. Prawda, ale
Czyż nie zdradzą oczki, buzia?
Každy pozna doskonale:
Konfitury zjadła Józia.

Nawet Filuś... Boże drogi!
Ten rozszczecka w całym domu,
Filuś, Filuś! Tu do nogi!
Jak tu w oczy spojrzeć komu?

Wiem już! Pójdę do mamusi,
Powiem wszystko szczerze, pięknie,
Mama mi przebaczyć musi,
Bo mi serce z żalu pęknie.

Marya Konopnicka.



Marzenia dziewczęcia.

Biała pajęczyna
Ścierniska okryła;
Oj, żebym ja prędko
Szyć się nauczyła.

Wysyłałabym sobie
Bieluchną chusteczkę,
Braciszкови memu
Śliczną koszuleczkę.

Nosiłby braciszek
Piękną tę koszulkę,
Modliłby się ze mną
Za naszą matulkę,

Że mnie tak młodziuchno
Szyć już nauczyła,
Żem mu koszuleczkę
Tak pięknie uszyła.

Teofil Lenartowicz

DZIAŁ POWIEŚCIOWY

TUŁACZE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA.

PRZEZ

B. BOLESŁAWITĘ.

(Ciąg dalszy.)

Tymczasem Staszek biegł ze dworu do chatynki za ogrodem, do matusi, wdowy młynarowej. On ją tylko jedną chciał pożegnać... na świecie nie miał więcej nikogo a gdy zobaczył ją w progu, na sercu mdło mu się zrobiło. A! bodaj to te wiosny! tych ludzi!

Matus była blada i nędzna.. chora, kaszląca, a nie miała na bożym świecie nikogo krom jego jednego.

Podszedł ku niej kręcąc w palcach słomkę ze spuszczonego oczyma.

— Matus kochana, może ja z paniczem gdzie pojedę... coś mi się widzi, że on się wybiera, a juści mnie weźmie, bo choćby nie brał to go nie opuszczę. Przyszedłem was pożegnać...

— A! panicz jedzie! dokądże? — spytała wdowa z trwogą.

— Albo to mnie wiedzieć — rzekł Stach, który choć wychowany po szkolnemu, z matką mówił jak prostaczek. — Teraz po świecie straszne się rzeczy dzieją... kto wie dokąd... a no — wojna!

— A! juścić nie na wojnę!

— Kto tam wiedzieć może.

3 T. N.

Matka w milczeniu płakać zaczęła.

— Czy wiedzą o tem we dworze? — spytała.

— Ale nie, uchował Boże.

Stara zarzuciła mu ręce na szyję, a w duszy myślała.

— Trzeba pójść matce oznajmić o tem co się święci, i ona ma jego jednego.

Serce jej biło; płacząc poszła wyjmować z węzełków co miała, aby oddać synowi, ale Stach nie przyjąć nie chciał.

— Wam się to tu zda, a mnie panicz z głodu nie da zdychać.

Przyjął tylko przykleknawszy medalik z Matką Boską Kalwaryjską.

Siedzieli długo z sobą, a coraz matka mu na szyję się rzuciła i ścisła i płakała.

Potem Staszek zerwał się, padł do nóg, zapłakał i uciekł, bo musiał wrócić do dworu.

Ledwie znikł za drzewami, a stara płachtę zarzuciła na ramiona i leciała już do dworu. A stanawszy w izbie kobiecej, kręciła się biedna jak tu dostąpić do Jejmości.

Wpadła do sypialni ukradkiem, ułękła, drżąca i do nóg Jejmości.

— Moja matko, moja dobrodziejko, straszne się tu rzeczy knują... bodajżeby nam panicz ze Staszkiem nie uciekli. Mój mi się przyszedł dziś, oto przed chwilą zegnać. Jużcić nie mogłam tego przenieść żeby nie przyjść a mojej dobrodziejce nie oznajmić.

Spojrzała jej w twarz, siedziała pani wstrzymując płacz, nie śmiejąc zapłakać. Była matką ale Polką i córką tych, co ginęli wszyscy od szabli, kuli lub w pętach tatarskich.

Matka płakać chciała, Polka serce niosła wysoko; czuła że w godzinie ofiary nie powinna była osłabnąć.

— Przywiduje ci się i twemu Staszкови, młynarzowa moja — rzekła powoli — Karol dla nas niema tajemnic; bądźcie spokojną.

— Pewnie? — spytała kobieta.

— Bądźcie spokojną — dodała pani Jakubowa. — Bóg łaskaw a co on poda do serca człowiekowi, i co się czyni z modlitwą i krzyżem... złe być nie może, nie sprowadzi nigdy nieszczęścia.

Potem lży się puścili obu, pani już mówić nie mogła... rozeszły się przybite, smętne, ale w duży spokojniejszy.

Karolek błądził po dworze jak dusza czyścowa, wszystko mu teraz inaczej w oczach staowało... zegnał ludzi, miejsca, sprzęty, przecież nie uległ żalowi...

Do izby pułkownika, który modlił się siedząc w oknie, wszedł Poremba i chrząkając stanął w progu. Nie była to jego godzina, wkradł się jakoś cicho i ostrożnie, pułkownik nań spojrzał, dokończył Zdrowaśki.

— Cóż tam, mój stary?

— Czołem pułkownikowi.

— Masz jaką potrzebę?

— Nie... tak — słoweczko.

— Bez ogródki, mój stary co ci potrzeba, mów.

— Mnie nic, ale są święte obowiązki, nie darmo się wasz chleb je; trzeba, żebyście w czas wiedzieli co się święci. Ot, boję się, żeby Karolek nie uszedł, kipi strasznie i coś bardzo do konia dziś latał...

— He? co? — zapytał stary — przyśniwa ci się.

— Lękam się żeby to nie było prawdą.

— A ja nie, dziecko karne, toby się tak nie wykradało — rzekł pułkownik.

— Ale w takiej sprawie?

— W jakiej sprawie?

— Gdzie o ojczyznę idzie! to jest sprawa nad wszelkie względy! Któż to z nas z domu nie uciekł na wojnę!

— Prawda — rzekł pułkownik — ale po co ma uciekać? wie że mu tego nie wzbronią gdy przyjdzie czas.

— Ale z pozwoleniem pułkownika dzieciak, to mu się łeb pali... nie wytrzyma. Mam poszlaki przygotowań pewnych.

— O! o!...

Pułkownik głową potrząsnął i zamilkł.

— No, no — rzekł po chwili — wola Boża, bądź spokojny Poremba, Bóg zapłaci za twą przyjaźń, ale... nie! Już ja ci powiadam, — nie.

— Jakto nie? — spytał stary.

— A no, mówię ci nie?

— Nie to nie! — kłaniając się powtórzył Poremba.

— Wiecie tam co o Moskwie? — przerwał pułkownik — gdzie się to paskudztwo obraca?

— A no, wszędzie się tego snuje dosyć, dziś tu, jutro tam, aby kraj obejść.

Stary się zadumał.

Poremba stał u drzwi, chrząknął znów by na siebie zwrócić uwagę.

— Spełniło się, co obowiązek kazał — rzekł — przepraszam pułkownika — więc pokłon i z powrotem.

— Dziękuję ci serdecznie — dodał dziadek — Bóg zapłać. Ja to choć siedzę w kącie, widzę ztąd wiele, ale niema nic, wierzaj mi, nic..

Gdy wyszedł Poremba, pułkownik znowu się począł modlić i posmutniał.

— Jednak — myślał — z rodu naszego ostatni... ale, tem większa ofiara a ojczyzna też jedna i jedynaczka!

Co Bóg przeznaczył niech się stanie.. tylko go bez saracenki nie puszczę...

Ale jak mu ją tu dać? Jak mu dać...

Zadzwonił, zmierzchało, wszedł chłopak ze świecami pod umbrelką i w progu rzekł jak to był obyczaj gdy wnoszono światło, na pamiątkę Chrystusa, który światło przyniósł na ziemię.

— Niech będzie pochwalony...

— Na wieki.

— Gdzie panicz, Karolek?

— Jest pono w pokoju.

— To mi go tu poproś.

W chwilę otwarły się drzwi i wszedł Karol blady, trochę zmieszany. Stary nań popatrzał.

— Gdzieżeś to waszeć bywał, com ja cię tak długo nie widział?

— Nieśmiałem dziadkowi przeszkadzać.

— Albo to ty nie wiesz moich godzin?

— Słuchajno — dorzucił po chwili namysłu — a jam cię tu właśnie potrzebował. Wszak to tu od ogrodu jak się drzewa rozrosły, wilgoć się zakrada do mnie; trzebaby mi broń poczyścić i oliwą trochę potrzeć, bo już się plamki od rdzy pokazują.

— Rdza? tutaj? — spytał Karol.

— Tak, i co najgorzej — jeszcze mi gotowa do Saracenki się dobrać, bo tu wisi na ścianie, a w tej ścianie wilgoć, już się boję o nią.

Karol pokraśniał, serce mu uderżyło, spojrzał, wisiała staruszka na swem miejscu.

— Ja to sobie myślałem — zaczął pułkownik — że jużby ci może ją powierzyć czas, ale mi tu na ścianie dziurę robi, oczy nawykły patrzeć. Jakąż ty masz szablę!

— A starą tę co od dziada!

— E! kujawiackę! prawda! dobra, dobra, ale zawsze to nie Saracenka! nie! — dodał zdejmując powoli relikwią. — To, mospanie, klejnot, nie wiem wiele pokoleń Plutów ją nosiło, nie jedna ją kropla krwi pogańskiej odżywiła. Tę szablę z życiem się chyba oddaje.

— Słuchaj Karol — rzekł po namyśle — przynieś no mi tamtą kujawiackę, zobaczę, może i po-handlujemy, bo się tej rdzy boję.

Karol, jakby go rzuciło, poleciał, i w mgnieniu oka z ową swoją powrócił. Stary ją dobył, popatrzał, świsnął.

— Dobra, składna — rzekł — ale zawsze to nie Saracenka, utrzymana porządnie, czysto, lubię tak! No, no! to ci może pora i najdroższą... pożyczyc.

Karolowi serce biło, mało się nie wyrwało z piersi, załamał dłonie i padł na kolana przed dziadem.

Pułkownik zwolna podniósł do góry uświęconą szablę ojców, wyjął ją z pochwy, krzyż na niej wryty pocałował i szepnął z cicha...

— Pro Deo et patria! (Dla Boga i Ojczyzny).

Łza mu padła na żelazce, ale ją stał prędko rękawem.

Karol klęczał... duchem się modlił, była to chwila uroczysta.

Plazem z lekka dotknął go po ramieniu pułkownik...

— Noś ją — rzekł wzruszony — na obronę praw Bożych i naszych... Wielkie to są słowa za Boga i Ojczyznę... widzisz, że ojczyzna nie stoi tu sama, ale pod opieką Bożą. Znać to, Karolu kochany, że kto o Bogu zapomni i o prawach jego, ten ojczyzny nie godzien. Noś ją na obronę wiary i kraju... dobądź za uciśnionych, w obronie słabych, za prawdę... a nie oddaj jej, chyba z ży-

ciem... W imie Ojca i Syna i Ducha Świętego, Amen. Błogosławieństwo Abrahama i Jakuba niech będą nad tobą...

Daj — ja ci ją sam przypaszę. — Staremu ręce się trzęsły, ale spał rapcie na Karolu, który padłszy do stóp jego, całował mu nogi. Zdało mu się to snem, cudem... widział już w wyprawie swej wolą Bożą.

— A teraz — rzekł, ręką trąc czoło stary — idź, Saracenkę odnieś, swoją mi tu powieś i nikomu o tem nic... rozumiesz, bom ci ją... pożyczyl!

Co się działo z chłopakiem, nikt nie wypowie, dla niego były to cuda. Szablę, szablę tę, o której marzył dostać tego wieczora... gdy o północy miał się puścić w drogę — nie byłże to cud prawdziwy?

Powracał rozmarzony do dworu, gdy dzwonek na wieczerzę wołający dał się słyszeć.

Dziaduś rzadko lub prawie nigdy na wieczerzę nie chadzał, bo jej też nie jadał, już mu bowiem na sen szkodziła.

Bywały jednak dnie, że się przywłókł dla gawędy, a wówczas przysuwano szerokie krzesło, skórą obite i miejsca swego ustępowała mu pani Jakubowa, czasem pół kieliszka wina wypił i chleba zakąsił. A była to wielka uczta dla wszystkich, gdy się stary pokazał, słuchano go pilnie, bo mówił o dawnych czasach. Miło było siwą jego brodę widzieć przy tym stole.

Otóż i tego dnia cudów, gdy zadzwoniono na wieczerzę, pułkownik też zadzwonił i kazał się do stołowej sali przeprowadzić.

Powoli już się tu cały dwór zbierał. Był i Bernardyn kapelan i stary ubogi szlachcic podróżny, wołokita, co nigdy nie mijał Skąły, przyszedł z nim Poremba, zwlekli się garbus i Krzywaczynski i panna Kunegunda, nadeszła wreszcie Jejmość z Ewusią i pan Jakub o kiju z ekonomicem razem.

Stół był długi, skromnie zastawny. Nim zasiedli, stali wszyscy przy swych miejscach, a bernardyn modlitwę odmawiał, chleb wieczorny błogosławiąc. Półkownik zwykle swe miejsce zajął w końcu stoła, dalej przy nim pan Jakub, Jakubowa, za nią Ewusia, przy ojcu Karol, tuż rzędem mężczyźni i kobiety, każdy wedle wieku i znaczenia.

Kapelan wedle reguły zakonów św. Franciszka przez pokorę zajął ostatnie miejsce od szarego końca.

Dzień to był, jakich mnogo w roku, nie uroczystego nie odznaczało go, przecież czuli wszyscy,

że ta chwila jakąś świętszą, stanowczą, ubłogosławioną była.

Twarze oblekła powaga i smutek spokojny, chylący się pod dłonią Bożą, usta się otworzyć nie śmiały, długie milczenie trwało po modlitwie. Obcy tylko szlachcic, pierwszy począł mówić o konfederacyi i konfederatach. Słuchano go wśród ciszy, Poremba czasem słowo wrzucił, Bernardyn drugie... rozmowa nie szła.

Coś wicnęło po wszystkich, jakby dziwnym duchem tęsknoty...

Gdybyś im w oczy popatrzył, to choć usta się śmiały, tu i owdzie łza powieki wilżyła, ale zakręciła się i wypłynąć nie śmiała... zgorzała w oku...

Usta drgały.

Ojciec spoglądał na syna a obawiał się, ażeby jego wzroku nie dośledził, matka go jadła oczyma, bała się, żeby tego nie dostrzegł, niespokojnym wzrokiem mierzył go Poremba. Tylko dziad rażny, wesół nalawszy kieliszek wina odezwał się do przybyłego szlachcica.

— Mój Mospanie, a co? wypićby może za zdrowie i sukces sług Matki Boskiej, panów konfederatów. Ale między nami... po cichu... Błogosławieństwo Boże niech będzie z nimi i z dobrą sprawą.

Bernardyn dodał po cichu:

— Fiat! fiat!

Szlachcic wstał, pokłonił się i duszkiem wychyliwszy kieliszek na dłoń przechylił, że kropli nie zostawił.

— O temby dużo mówić nie trzeba — dodał pułkownik — ani co się dzieje ani gdzie, bo źli i głupi uszy mają, drudzy i języki długie, a wojna nie cierpi zbytniego paplania. Nie tyle zdradą co płochością ludzie giną... Bogu ich polecić i — szal!

Obnoszono potrawy, mało kto je tknął, patrzali się wszyscy, udawali, że jedzą, tylko Poremba, Krzywaczyński, szlachcic podróżny i Bernardyn dotrzymali placu. Matka ledwie chleb złamała, w usta jej nie szło...

— Siedzimy coś jak mruki! — odezwał się pułkownik — choćby nie o konfederatach, byłoby o czem pogadać. Tak, nie potem.

Ponieważem się tu do was zwrócił, wypiję jeszcze kroplę za wasze zdrowie i powodzenie.

Spojrzał zdala na Karola i ustami dotknął kieliszka.

Syn i synowa w rękę go pocałowała, zatem wieczerza zbliżyła się do końca. Staruszek posunął krzesłem, Bernardyn wstał i począł modlitwę dziękczynną odmawiać... Wszyscy poszli ucałować rękę gospodyni, ścisnąć dłoń gospodarza. Gdy Karol przystąpił do matki, uczył jakby jej ręka drżała... mimowolnie schyliła się, dotknęła usty czoła jego.

Zwykle po krótkiej chwili rozchodzili się wszyscy.

Karol uczył zbliżającą się godzinę uroczystą rozstania, na jak długo? nie wiedział. Może na życie całe! wzruszony niespokojny, to na rodziców, to na dziada, to na Ewusię spoglądał.

Czuć było jeszcze we wszystkich dziwny smutek i tęskne jakieś usposobienie, bolesne; twarze oblokła powaga uroczysta, czoła były posępne, cisza jakby anioł przeleciał, towarzyszyła tej chwili.

Dobranoc szedł Karol oddawać każdemu z osobna, tym razem dziadek kazał mu się jeszcze odprowadzić do swego pokoju.

— Chodźże no waść ze mną! — rzekł.

A gdy wstąpili na próg komnaty i stary siadł w krześle, popatrzał nań długo.

— Przypomniałem sobie — rzekł — jeszcze ci się coś do Saracenki należy... kto ją nosił ten brał i ryngraf z Matką Boską. Zdejmże go sobie i powieś tymczasem nad łóżkiem.

To mówiąc ścisnął go dziad za głowę, wskazał na ścianę i rzekł poważnie.

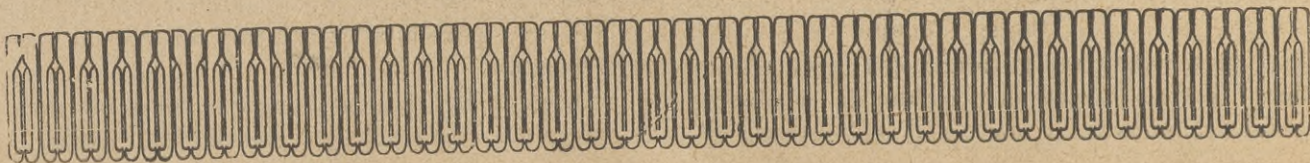
— Dobranoc chłopcze — dobranoc.

A dopiero gdy się za nim drzwi zamknęły, pułkownik łzę otarłszy krzyż pański za nim posłał.

Nie było to wszystko cudem? Karolowi w głowie się płało, serce mocniej coraz biło.

Poszedł do matki, ale ta słowa wymówić nie mogła, aby się nie rozpłakać. Gdy ją w rękę całował przycisnęła głowę do piersi, a sama, gdy się drzwi zamknęły, poszła wprost do klęcznika. Z drugiego pokoju widać było z zauchylonych podwojów bladą twarz Ewusi. Karol skinął jej głową i ręką i tak pożegnali się milczący.

(Ciąg dalszy nastąpi.)



NAD SZPREWĄ.

POWIEŚĆ.

(Ciąg dalszy).

Małeńka blada twarzyczka, ostry nosek, wążuchne usta, fizygnomia nic nie znacząca ale trochę nadęta — wąsik chudy i głowa wcześniej nadyśiała, krótko ostrzyżona — mimo młodości nie czyniły go wcale ani pięknym ani miłym. Coś ostrego, szorstkiego przebijało się przez przesadnie grzeczne ruchy pana barona, który jak widać było ze szlif, piastował już wysoką godność oberlejtanta... Z nadskakującą uniżonością i przesadnymi ukłonami powitawszy kobiety, uściśnawszy rękę radcy — zwrócił się przybyły z objawem nadzwyczajnej czułości ku ocalonemu burszowi, winszując mu, iż go Szprewa nie połknęła. Czy powinszowania te były szczerze — i czy baron nie pomyślał dowiedziawszy się o wypadku, o ileby to powiększyło posag panny, za to ręczyć nie podobna.

Helmina zaledwie spojrzawszy na barona, siadła z dala na krzesle z miną zrezygnowaną i obojętną. Radzca żywo począł opowiadać, matka jak zwykle milczała.

Nieprzyjemnie tknęło to bursza, iż baron przy pierwszej wzmiance o pochodzeniu polskiem wybawiciela bryznął zużytym sarkazmem na Polaków. Wszyscy zamilczeli, Hänschen usta wyduł i wąsika pokręcił, baron poczuł może niewłaściwość tego wybryku i zwrócił rozmowę.

— Szanowny panie Janie — odezwał się, niech to wam przypomni, że jako szlachcie...

Stary Riebe nadał się przyjemnie, uczyniło mu to sensacją niewypowiedzianie miłą.

— Jako szlachcie — kończył baron — powinienś umieć pływać, konno jeździć i bić się... doskonale. Sport wszelki szlachecka rzecz.

— O! bić się — odparł Hänschen, uśmiechając się i gładząc po twarzy, na której miał już szram od rapira — bić nie powstydę.

— Anglicy nawet boksować się uczą — pierwszych familli — zawołał baron.

— O! pierwszych familli — podchwycił Riebe — to już ekscentryczność (omylił się, syn nań spojrział groźnie i jak winowajca umilkł).

— Tak jest, ciągnął baron... A! nie ma jak angielska szlachta! Wzór dla nas wszystkich.

Radzca westchnął czując, jak dlań wzór ten był niedoścignionym.

Baron, który widocznie chciał zawsze okazywać, iż go tu sprowadziła panina, zwrócił się wdzięcząc i uśmiechając do niej.

— Na pani też musiało to uczynić okropne wrażenie.

— Tak, — cicho rzekła Helmina — pojmie to tylko, kto jak ja kocha jedynego brata...

— Zazdroszczę wybawcy — odezwał się baron — wdzięczności, na jaką sobie u pani zarobił...

— Oplaca ją teraz chorobą — odpowiedziała Helmina.

— I nie widzieli go państwo? — zapytał baron.

— Ja u niego byłem — rzekł radzca.

— I ja — dodał Hänschen.

— A ma to być, słyszę, akademik jak pan — mówił oficer — i pewno znajomy.

— Nigdy go w życiu nie widział a on nie wiedział też, kogo ratuje, rzucił się, spostrzegłszy tonącego człowieka.

— Przepysznie! — zawołał z przekąsem baron i zamilkł a po chwili dodał:

— Należy mu się medal za ocalenie życia — nie wiem, na jakiej wstążce się on nosi — ale że jest, to pewna.

Radzca to żywo podchwycił.

— A tak! w istocie na myśl mi to nie przyszło! doskonałą uwagę uczynił pan baron... powinienem mu się o medal postarać, to go uszczęśliwi... Będzie go mógł nosić... Nie prawdaż!

Oficer odpowiedział potwierdzająco. Radczy twarz się rozjaśniła — mógł się więc postarać o medal i w ten sposób świetnie zrewanżować, bo rewanż ów nie wychodził mu z myśli... Twarz studenta milczącego dowodziła, że nie chcąc się przy orderowanym ojcu i orderowanym gościu źle odzywać o znakach tych honorowych, nie zupełnie podzielał ich zdanie pod względem wagi, jaką do nich przywiązywali. Zagryzł usta, spojrział na siostrę i szyderski wyraz rozlał mu się

po całym obliczu. Wstał z krzesła, poczynając się przechadzać po saloniku.

— Co to jest niemiecka nasza krew i zdrowa, silna natura germańska — dodał oficer. — Hans chodzi zdrow, jakby nie wziął kąpieli w Szprewie, a tamten nieborak choruje, że się trochę popłukał. Jak to zaraz znać obumierające plemię.

Nikt na to nie odpowiedział i baron obejrawszy się poczuł, że drugi raz popełnił omyłkę — zagadał więc coś o powtórnie kwitnących jesiennych fiołkach.

Piękna panna odpowiedziała mu, że fiołków nie lubi i że się jej pretensjonalnemi ze swą wyszukaną wydają prostotą. Odwróciła się potem ku bratu.

Baron spojrział na zegarek, porwał się udając, że spieszyć musi, i z niezmiernem szastaniem nogami cały w ukłonach i łamańcach opuścił salon przeprowadzany przez radzcę i jego syna aż na aż na schody.

Gdy ojciec do saloniku powrócił, córki już w nim nie zastał.

— Wiesz — odezwał się z cicha do żony — zdaje mi się, że Helmina zbyt zimno przyjmuje barona. To źle, — ani go nazbyt ośmielać, ani odpychać należy. Dowiadywałem się o niego... wioska, słyszę, licha i rodzeństwo liczne, ale imię ładne i wojskowa karyera może być świetna. Chłopiec zręczny, oszczędny bardzo, nieposzlakowanych obyczajów, ma przyszłość przed sobą... i baron.

Radczyni powoli podniosła oczy na męża.

— Ale zdaje mi się, że Helmina lepszego czegoś warta... szepnęła.

— Zapewne! ale któż się dziś żeni? — rzekł radzca — zupełnie to wyszło z mody. Szczególniej u arystokracji, chyba starcy, gdy już młodość do odrobiny wyszafowali.

— E! — podchwycił Hans biorąc się w boki — Helma ma czas poczekać i wybrać. Takiej drugiej tu nie ma. Baronowie się teraz żenią z aktorkami, to dla niej mało księcia.

— Słowo honoru! — dodał Hans — dziewczyna jak malowana i rozumna i bogata! Co mi przy niej taki chudy baron znaczy!

Na tem się skończyło.

W kilka dni potem Wojtuś z talarem w kieszeni przyszedł odwiedzić towarzysza już mającego się znacznie lepiej po przebytej gorączce. — Wolski siedział blady i pokaszlujący nad książkami. Rękę miał zatopioną w bujnych włosach

i dumał a z namarszczonego czoła widać było frasunek.

— Widzisz — rzekł po przywitaniu kładząc na stoliku talara — jaki jestem bezprzykładnie słowny. Nie zdumiewasz się, twarz twoja nie promienieje radością, nieczuły człowiecze!

— Ale słuchaj — przerwał nagle — co ci jest? Siedzisz smutny jak noc.

Wolski się zerwał z siedzenia milcząc i po pokoju gwałtownymi krokami chodzić zaczął.

W istocie był tak widocznie skłopotany, przybity, że Wojtuś, który wszedł wesół jakby nigdy garbatym nie był, nagle też zląklszy się posmutniał. Zbliżył się, wziął go za ręce i natarczywie począł.

— Ale mówże, co ci jest! Komuż się już zwierzysz jeśli nie mnie. Co ci jest? przerażasz mnie.

— Dopiero teraz — wybychnął Wolski — prawdziwie żałuję, że mnie skorciło Niemca z wody ratować.

— Książki mi zginęły, dykcyonarzy jeden tom, na którego kupienie od gęby sobie odejmowałem, najlepszy surdut... jedyne buty... Wszystko to jeszcze mniejszaby było, ale ten kłopot... ten kłopot.

— Jaki? trzy talary zadłużyłeś się gospodyni, wielka mi rzecz — wołał garbus. — Richterowa by ostatnią suknię zdjęła, aby ci usłużyć!

— Nie o to idzie.

— A o cóż u Boga??

— Przyszło im na myśl... zaprosić mnie na wieczór.

— Więc cóż? bo nie rozumiem.

— Tępy jesteś jak stara brzytwa — zawołał Wolski — możesz-że nie rozumieć tego, że na wieczór do radzcy komercyjne potrzeba mi fraka i całego frakowego garnituru, potrzeba kapelusza, rękawiczek, przyzwoitego paletota, wszystkiego tego, czego nie mam i mieć nie mogę.

Wojtuś popatrzał na towarzysza i rozśmiał się.

— Gdybym był na twojem miejscu, poszedłbym, jak stoję. Pal ich kat! ale tu twoją próżnostka nie pozwala, chcesz wystąpić. Pewnie wiesz już o bardzo pięknej pannie.

— Właśnie mi panna w głowie — wołał Wolski. — Przecież w łachmanach nie idzie się z wizytą. Przyznasz ty, co tak elegancją lubisz, że nie mogę iść, jak stoję. Znasz całą moją garderobę, boś ją nieraz wysmiewał.

Wojtuś zaczął papierosa kręcić — dumając niby.

— Nie wiem — rzekł — ale zdaje mi się, że chyba zbytnia aplikacja musiała ci odjąć wszelką umysłu żywość.

Jak można tak nadzwyczaj prostej rzeczy nie domyśleć się... że w mieście jak Berlin na wieczór się występuje świetnie bardzo — choćby nie mając koszuli.

— Jakimże to sposobem?

— Najprostszym w świecie! — zawołał Wojtuś. — Począwszy od fraka najmuje się wszystko.

— Jak to najmuje?

— Tak, jak mówię, idzie się do wynajmującego suknie, który od stóp do głów cię wykirowuje na eleganta a nazajutrz odbiera odzienie. Sądzi się, iż przybywający ze wsi klienci, którzy zmuszeni są do ekscelencji iść w białych krawatach i czarnych frakach, sprawiają je sobie na jeden wieczór? Zatem proszę cię i bądź o to spokojny, ja wszystko załatwię, żebyś tylko był zdrów.

Wolski się wzdygnął.

— He! zapewne — odezwał się ponuro — gdy konieczność zmusza, trzeba przejść przez tę próbę. Przyznam ci się jednak, że kłaść choćby najpiękniejszy frak, który już na niewiedzieć czyich spoczywał ramionach, iść w sukni pożyczanej...

— Więc jest jeszcze lepszy sposób... diabłu duszę zapisać i sprawić sobie garnitur z sajety. Trzeciego środka nie widzę.

Gdy te słowa kończył, wesół głos odezwał się odedrzwii — głośno aż do przestraszenia odezwał się:

— Ja mam trzeci!

Obrócili się zdziwieni, drzwi po cichu otwarte stały szeroko a w nich ładny i zręczny chłopak ubrany jak lalka, — w którym trudno było poznać studenta.

W paliowych świeżych rękawiczkach, z lornetką na wstążce morowej, w paletociku jak ulanym, — ze spicrutą w ręku.

Stał śmiejąc się prawie dziecinnie uradowany i wesół.

— Deus ex machina! — zawołał Wojtuś. — Co ty tu robisz Ryszardzie?... ty na trzecim piętrze... to kompromituje twą elegancję.

Wolski z nim się witał.

— Ale mi się za Kajciem tęskniło... dziwnie miękko jakoś szepleniąc głosem niemal kobiecym rzekł Ryszard.

Był to student chodzący na prawo.

Z powodu imienia Ryszarda dodawano mu przydomek Lwie Serce, choć serce miał gołębie — a że chodził na prawo nie bardzo regularnie, Woj-

tuś mówił nań, że chodzi raczej — na lewo... Ryszard był hrabiątkiem z Poznańskiego, młodzieńcem wielkich nadziei sukcesy i milionów; — ale dobre z niego było chłopię... — tylko niepozornie stratne i lekkomyślne.

Zbliżywszy się do Kajetana — począł go ściskać.

— Jak mnie kochasz... Kaju... phoszę cię... zaklinam... jesteśmy jednego wzhorstu... ja ci dam, co potrzeba... zobaczysz. Co masz bhać jakies tam wachmany po chohych Niemcach. Swowo honohu... kiedy cię phoszę!!

— W istocie Ryszard znalazł sposób trzeci, który jest jedynym — dodał żywo Wojtuś — nie ma rady.

— Ale ja ci odzienie paradne zniszczę.

— To je zniszcz... to mi wszystko jedno... phoszę cię... takie guupstwo — wołał ściskając Wolskiego. — Kiedyż ten wieczór! dziś?

— Nie, jutro.

— Dziś będziesz miał gaudeuobę... i zaimponujesz Niemcom — śmiejąc się mówił Ryszard.

— Tak śliczna rzecz — podchwycił Wolski — wnosząc z niej wezmą mnie za majątnego człowieka. To rodzaj kłamstwa.

— A tak! — z udaną powagą bardzo śmieszoną lamentując rzekł Wojtuś — trzeba się nad tem zastanowić! Ma słusność ten człowiek sumienny... to będzie okropne, szkaradne, nie przebaczone, mogące za sobą pociągnąć straszliwe sumienia wyrzuty — kłamstwo. Biegnę po księdza... casus conscientiae, niech rozwiąże! Potem przy konfesyjale, gdy się przyznasz — Pater! peccavi! poszedłem na wieczór w pożyczonym fraku, książdz weźmie za waryata i rozgrzeszenia nie da!

Zaczęli się śmiać, ale Kajetanowi ogromny ciężar spadł z piersi.

— Przyszedłeś tu jak opatrność — rzekł ściskając mięciuchną dłoń Ryszarda, który był uszczęśliwiony i śmiał się powtarzając. — Zobaczysz jak ja cię wystrychnę.

Rozmowa zwróciła się na inne przedmioty i chwila szybko przeszła. — Ryszard pożegnał Wolskiego, Wojtuś także, rekonwalescent pozostał sam z książkami.

Przed wieczorem paradny służący hrabiego Ryszarda w jeszcze paradniejszym zawinięciu przyniósł dwa pełne ubiory do wyboru, z troskliwością największą aż do najmnieszych szczegółów zebrane.

Wolski wziął pierwszy z brzegu, spróbował tylko, czy na niego wejdzie, a że leżał garnitur wybornie... zasnął spokojny.

Nie był jednak bez trwogi przebudziwszy się, gdy przypomniał sobie, że mu na ten wieczór iść trzeba było odgrywać smutną rolę wybawiciela fetowanego przez rodzinę.

Wszelkiego rodzaju owacye dla ludzi, co mają delikatniejsze uczucia, są ciężką przeprawą. Niejeden przez różgi by iść może wołał — ale są czasem nieuniknione szczęścia, które przełknąć człowiek musi, choć się niemi dławi.

Wolski jak żyw w towarzystwie niemieckiem nie bywał, choć język umiał dobrze i władał nim wprawnie; domyślał się, że tu obyczaj, mowa, myśli, wszystko być musiało inne jak u nas.

Godziny szły jak na złość z utrapioną szybkością i straszna się owa, której się tak obawiał, zbliżała.

Wzdychając wdział piękny, do zbytku wytworny garnitur Ryszarda, spojrział w zwierciadło, trudno mu się poznać było, tak jakoś nie swoje, inaczej, dziwnie sobie samemu wyglądał. Rumieniec okrył mu twarz bladą.

Pomimo szyderstw Wojtusia czuł, że i ubiór kłamstwem być może; czuł, że nie miał mowy ani ruchu stosownego do tego stroju. Było mu w nim obco, cudzo i straszno.

Przypominał sobie matkę w ubogiej izdebce, w szlafrocuku perkalikowym, w białym czepcu, i łza mu się zakręciła w oku.

Biedna matka przestraszyłaby się pewnie, gdyby skromnego, pocziwego swojego Kaja zobaczyła przestrojonego na jakiegoś eleganta. Była chwila, że Wolski chciał zrzucić suknie, zapakować rzeczy i uciec bodaj z Berlina — ale pracował dla matki, dla jej spokojnej przyszłości... i dla niej wszystko znieść musiał, nawet tę upokarzającą maskaradę.

Z westchnieniem więc narzuciwszy palto, wyszedł z izdebki, unikając spotkania z p. Richtrową, która go, wnosząc ze stroju, o płochosć posadzić mogła.

Udało mu się prześliznąć niepostrzeżonemu i wysunąć na ulicę.

Szedł dalej z bijącym sercem... ale mu się w oczach ćmiło... Strój ten palił go jak ogniem.

Już stał przed drzwiami domu oznaczonego złowrogim numerem trzynastym, miał przed sobą tylko wschody pierwszego piętra... w którego oknach rześiste światło przebijało się przez zapuszczone story.

Jak skazany na ciężką pokutę... poszedł... zadzwonił.

Lokaj w białych rękawiczkach, najęty na ten wieczór umyślnie, aby dać gościowi wspanialsze

wyobrażenie o domu pana radzcy komercyjnego, przyjął go głębokim w progu pokłonem.

Tuż z przeciwnych drzwi wybiegł ocalony Hänschen bez godeł burszowskich, we fraku na przyjęcie przybywającego.

Pewne zadziwienie odmalowało się w twarzy studenta, gdy spojrział na strój wytworny i białe rękawiczki kolegi.

Kajetan wyglądał w tym nie swoim ubiorze tak arystokratycznie pięknym, tak mu było z tą zaniedbaną nieco elegancją dobrego smaku do twarzy, iż Hans mimo swej młodzieńczej piękności ledwie mu nie pozazdrościł.

Lecz tuż przez pół otwarte drzwi wyglądał radzca komercyjny z obydwoma orderami, nie przez znaki skrócenia wyrażającemi się, ale in naturalibus.

Ogromne dwa krzyże wisiały na cześć gościa w pętlicy jego fraka.

Krawat biały włożył znowu dla tego, że ilekroć brał krzyże wielkie, zawsze im zwykł był ten znak poszanowania towarzyszyć.

Nie wiedział sam, jak ściskany za ręce, mrużąc coś dostał się do salonu.

Niedaleko od drzwi czekała nań w czarnej sukni jedwabnej, wzruszona w istocie pani radczyni.

Nie mogła się zebrać na długą mowę, ale serdecznie uściskała jego rękę.

W tej chwili Kajo podniósł głowę, czując jeszcze kogoś przed sobą i — osłupiał.

W białej sukni z niebieskimi wstążkami z rozpuszczonemi na ramiona włosami, trochę blada i zmieszana stała Helmina. Wyciągała ku niemu maleńką dłoń... ale Kajo tak był osłupły jej pięknoscią, iż chwilę stał prawie nieprzytomny. I panna i cała rodzina widzieć to musiała.

— Pozwól pan, bym i ja za kochanego brata życie podziękowała szlachetnemu wybawcy. Gdybyś pan me własne ocalił... nie byłabym panu wdzięczniejszą.

Głos brzmiał jak muzyka i upajał... Wolski odpowiedzieć nie umiał, ale to jego pomieszczenie pewnie mu nie zaszkodziło w oczach panny. Spojrzała nań długo swe niebieskie topiąc w nim oczy, ścisnęła mocno jego rękę i cofnęła się parę kroków.

Towarzystwo składało się z rodziny tylko, do której należał wój samej pani, stary pastor z długimi siwymi włosami i szeroko zawiązaną chustką białą na szyi — brat radzcy komercyjnego, kupiec, prosty Riebe bez żadnego von i człowiek ubogi, jego córka skromnie a nie-

smaczno ubrana panienka — a — na ostatek kuzynek jakiś, chowający się w kącie.

Wolskiemu i nawyknienia do towarzystwa i przytomności umysłu brakło; ratował go jakiś instynkt, zupełnie jak tonącego człowieka, który już nie myśli, nie rozumuje, lecz chwytą wiedziony potrzebą ocalenia, co mu nastreczy Opatrzność.

Przez chwilę po zajęciu miejsc toczyła się jeszcze rozmowa o przypadku, którego bohaterami byli Hänschen i Wolski.

Nieszczęśliwego Kajetana wszyscy bombardowali tytułem barona, który padał na niego jak kamień.

Dniem wprzód wypraszał się od tego najusilniej u młodego przyjaciela — nic to nie pomogło... musiał baronostwo i frak pożyczony zność razem.

Jedna Helma jakoś umiejętnie unikała tytułu, za co jej prawdziwie był wdzięcznym.

Nie rychło rozmowa z ogólnej zaczęła przechodzić w podzieloną.

Wolski znalazł się na chwilę przy Helminie, która bardzo śmiało i zręcznie pytała go o życie w Berlinie i naukę.

Przez brata dosyć była oswojoną z tymi przy najmniej obyczajami burszowskimi, o których pannie wiedzieć się godzi; zajmowało ją nawet to bujne i rzeźwe rozwijanie się młodzieży puszczające cugle fantazyi i umiejącej podolać razem nauce i zabawie, książce i światu. Zdziwiła się, gdy Kajetan, który wcale innym się (mimo fraka) wydawać nie chciał niż był w istocie, odpowiedział jej, że żył zupełnie odsunięty od wspólnych i tłumnych zabaw młodzieży, nie należąc do żadnej z nacyi uniwersyteckich i pędząc czas w bardzo szczupłym kółku znajomych lub nad swojemi książkami.

Helmina wyraziła swe podziwienie. Z tego tematu wszczęła się rozmowa o młodości i poezyi. I tu dwie istoty z dwóch tak różnych światów — jak niemiecka panna i ubogi polski chłopak znaleźli się z odmiennemi zupełnie wyobrażeniami; ale Kajetan miał tę wyższość nad nią, że niemiecka literatura, życie, pojęcie przyswojone zupełnie obcemi mu nie były, a to, co wyniósł z rodzinnego domu, dopełniało i prostowało jednostronne poglądy germańskie, gdy panna o całym tym słowiańsko-polskim, dzikim — według pojęć ich — świecie — miała zaledwie powierzchowne, mętne i bardzo niedostateczne wyobrażenie. Wolski wydał się jej dziwnie oryginalnym i zajmującym jak studium nieznanej książki. Helmina była

chciwą wiedzy... młodzieniec obudził w niej ciekawość.

Czegoś podobnego nie spotkała jeszcze. Mówił doskonale po niemiecku, ale ideami polskimi, które czasem jak stał brzęczały, czasem błyskały jak ogniki, czasem przeciągały jak mgły sine, z poza których czarowne migają krajobrazy.

Rozmowa więc stała się niezmiernie ożywioną.

Wmieszał się do niej Hänschen i gwarzyli dosyć wesoło.

Oczy pięknego dziewczęcia jakby akompaniamentem cichej muzyki towarzyszyły słowom. A jak zwykle u młodych bywa... polecili wszyscy troje pod niebieskie stropy, zaczepiając jak o gwiazdy o najwznioślejsze zadania ludzkości.

Szczęściem dla nich, aby im nie dać zalecieć zbyt daleko, z kąd powrót na ziemię jest trudny — najęty kamerdyner otworzył drzwi jadalnego pokoju i pani radczyni poprosiła na wieczerzę. Nie wiem, jak się to stało, że Wolskiego posadzono między siostrą i bratem.

Wieczerza wzięta z restauracyi — przynajmniej co do zewnętrznej swej fizyognomii — była wcale wytworną.

Wina stały we flaszkach, których korki ze srebrnemi główkami wyobrażały jakieś fantastyczne istoty.

Na bokach butelek lśniły etykiety chromolitografowane tak przepyszenie, iż gdyby Wolski miał cokolwiek doświadczenia, to jednoby mu dowiodło, że — nic nie były warte. — Wszystko razem wzięte udawało przepych pański, nieumiejętnie naśladowany — ale dla Kajetana wydawał on się rzeczywistym i najpierwszej wody.

W pośrodku stołu w dwóch koszykach mocno zużytych, lodem otoczone panoszyły się dwie butelki niemieckiego szampana.

Radzca był uszczęśliwiony, czuł, że baronowi polskiemu swoim rewanżem zaimponował, wprowało go to w tak dobry humor, że oczy syna musiały ciągle stać na straży ust ojca, ażeby baka jakiego nie wystrzelił.

Jak się to najczęściej trafia, że gdy człowiek wielce się czego lęka, to właśnie sprawi mu przyjemność, a gdy się czego z upragnieniem spodziewa, trafia na zawód bolesny — wieczór upłynął nieskończenie milej i łatwiej, niżby Kajetan mógł przypuszczać.

Pastor był człowiek odcytany, miły i łagodny — kupcówna skromna ale dobrze wychowana panienka, bursz zwykle zuchwały, w domu rodziców dochodził prawie do ugrzecznienia, a Helmina zachwycającą się wydawała Kajetanowi.

Była zawsze niepospolitą istotą, ale tego dnia jakieś dziwne usposobienie spotęgowało jej wdzięki, dowcip, wszystko, czem ją obdarzyła natura.

Rodzice nawet znajdowali ją nieźrównanie świetną.

Nie było to wyszukane, wymuszone, przygotowane umyślnie na pokaz — była mimowoli w tym blasku, płynącym z duszy i niezrozumiałym dla niej samej.

Wolski słuchał jej zachwycony. Była śmiałą, wesolą i potęgą jakąś opanowała ster rozmowy — zaćmiła wszystko, co ją otaczało.

Ojciec był nią dumny, brat podzielał jej tryumfy i dopomagał do nich, reszta rodziny słuchała w milczącym podziwie. Właściwie ona, pastor, Hänschen i Wolski wiedli rozmowę, która coraz się wyżej nastrojała.

Radzca komercyjny sam uznał, że na tak wysoko rozciągniętej linie — dla niego taniec był niebezpieczny, miewał się więc tylko cichymi uśmiechami i znakami potwierdzającymi.

Wino otworzyło usta jeszcze, rozjaśniło humory, nadało więcej swobody myśli i słowu.

Przy pieczystem radzca komercyjny wniósł toast za zdrowie szlachetnego wybawcy syna i z uczuciem tryumfu oznajmił mu — sądząc, iż nadzwyczajne wywoła wrażenie i wdzięczność — że wysokie ministerstwo, przyczyniając się do prośby jego, raczyło obdarzyć i p. barona von Wolski medalem za uratowanie człowieka do noszenia na wstędze... orderu jakiegoś...

Wolski kłaniając się pobrał i zmiewał niezmiernie, wzięto pomieszenie za wyraz uradowania; radzca komercyjny ubolewał tylko, że pewne formalności nie dozwoliły mu natychmiast wręczyć tej zasłużonej ozdoby młodemu tryumfatorowi...

Nastąpiły serdeczne powinszowania i Wolski uczuł się dopiero teraz należycie skonfundowanym. Że jednak miał to być dlań ze wszech miar wieczór szczęśliwy, więc los i długiego trwania tej

konfuzji nie dopuścił. Stało się coś niespodziewanego.

Baron von Liebenthal, którego nie proszono na tę fetę familijną, mający jednak w ogóle wolny wstęp do domu, w wielkim uniformie wracając z zamku wstąpił do państwa von Riebe. Być bardzo może, iż ciekawy był... że niespokojny, że się dnia tego domyślał lub o nim dowiedział.

Z razu radzca spojrzął na żonę zafrasowany nieco, ale tajemniczy znak przez nią dany a oznaczający, iż pieczystego, ciasta i wina dosyć było jeszcze — wnet go uspokoił.

Świetnie teraz wyglądał gwardzista w pełnym mundurze, orderzy na piersiach, w ręku hełm polyskujący.

Musiło mu się zdawać, że występował jako zwycięzca bez walki... Veni, vidi — vici... Mundur pełny czynił na nim to wrażenie, że krygując się śmiesznie, w nim rzucał się, trząsł, poruszał na sposób Poliszynella...

Było to coś, co się opisać nie daje — ukłon jakby się łamał, w rozmowie rzucanie rąk, nóg i dźwiganie szlifów na ramionach i potrząsanie piersią i obracanie głową — wszystko to przy sztywnej wyprostowanej postawie — sprawiało wrażenie nieopłacone! Tego wieczora czy był już po militarnym jakim ponczyk, czy tak uszczęśliwiony recepcją doznaną — czy z siebie zadowolony — czy zaćmić pragnąc filistrów — baron von Liebenthal grał rolę junkra pomorskiego czy meklemburskiego jak wirtuoz niedorównany.

Zasiadłszy krzesło wnet oczyma i pytaniami rzucił się na Helminę.

Spojrzał zdala na zaprezentowanego mu Wolskiego jako na małe stworzonko zniknąć mające w jego blasku i puścił się w głośną, dowcipną berlińskim akcentem rozmowę.

Jest to pewnik doświadczeniem wieków stwierdzony, że wchodzący w towarzystwo rozbawione człowiek nowy bardzo rzadko trafia na ton właściwy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

**Wkrótce rozpoczniemy druk trzeciej bardzo
zajmującej powieści.**

STRACH.

Po obiedzie wstąpiliśmy na pokład okrętu. Przed nami rozciągało się morze Śródziemne, którego nieruchoma powierzchnia połyskiwała przy świetle księżyca. Wielki okręt posuwał się zwolna naprzód, znacząc drogę długą, czarną wstęgą dymu, unoszącą się ku posianemu gwiazdami niebu, a za nami pieniały się fale morskie i uderzały o śruby okrętu.

Było nas około ośmiu, staliśmy spokojnie i spoglądali w kierunku odległej Afryki, dokąd nasz statek zmierzał. Kapitan okrętu, paląc cygaro, temi słowy podjął przerwana rozmowę.

„Owego dnia, panowie, poznałem, co to strach. Okręt mój walczył rozpaczliwie z burzą przez siedm godzin. Na szczęście napotkał nas pod wieczór angielski parowiec i udzielił nam schronienia.“

Na to przemówił dotychczas milczący, wysoki mężczyzna, poważny, o silnie ogorzałej twarzy.

„Powiadasz kapitanie, że byłeś wtedy w strachu? Nie wierzę ci. Mylisz się zapewne, tak co do znaczenia wyrazu, jako też pod względem uczucia, którego doznałeś. Mężczyzna energiczny nie doznaje nigdy strachu w obliczu niebezpieczeństwa. Jest wzruszony, przejęty, może zaniepokojony, ale bojaźń, obawa, to zupełnie co innego.“

Kapitan powtórzył z uśmiechem: „Na honor, byłem wtedy w strachu“. Ale mężczyzna ów z twarzą, gdyby z bronzu wykutą, mówił dalej spokojnie:

„Pozwól, bym ci się bliżej wytłómaczył. Strach, a mogą go zaznać i najodważniejsi — jest coś okropnego, to straszne uczucie, to niejako konanie duszy, paraliż serca i mózgu, na którego samo wspomnienie dreszcz nas przejmie. Ale uczucia tego nie doznaje człowiek odważny w chwili napadu, na widok nieuniknionej śmierci lub jakiegoś znanego niebezpieczeństwa, uczucie to pojawia się u niego wśród niezwyklej okoliczności, wskutek jakichś tajemniczych wpływów i niepojętych, nienaturalnych wydarzeń.“

Przeżyłem już w życiu wiele niebezpieczeństw i przygód, grożących śmiercią. Walczyłem kilkakrotnie a raz zbójcy zostawili mnie na polu nawpół nieżywego. W Ameryce zasądzono

mnie za udział w powstaniu na szubienicę, a na wybrzeżu Chin wpadłem w morze z pokładu wojennego okrętu. I każdym razem miałem się za zgubionego i byłem gotowy na śmierć, bez żalu i bez rozpacz. Ale to nie bojaźń, to nie strach przecież.

Bajaźni zaznałem po raz pierwszy w Afryce, mimo, że ona jest dzieckiem Północy, a jak mgła roztapia się pod ciepłym promieni słonecznych. Na Wschodzie znają strach paniczny, nie znają bojaźni. Opowiem wam, co mi się wydarzyło w Afryce. Przejeżdżałem konno przez wielkie wydmy piaszczyste na południu Auragli. Jest to niezwykle kraj; olbrzymie wybrzeże wygląda, gdyby ocean piasku o żółtych falach nieruchomych. Piasek wznosi się w pagórkach, nierównych i poszarpanych, a na to martwe morze, na tę smutną milczącą przyrodę rzuca skwarne słońce Południa swój żar palący.

Przez tę pustynię przejeżdżałem w towarzystwie przyjaciela; w naszym orszaku znajdowało się ośmiu spahisów i cztery wielbłądy. Od upału i znużenia już mówić nie mogliśmy. W tem ktoś z naszego orszaku wydał nagły okrzyk, a my wszyscy zatrzymaliśmy się na miejscu pod wpływem niewyjaśnionego zjawiska, które tylko podróżnikom tych okolic jest znanem.

Oto w naszym pobliżu, ale w nieokreślonym kierunku, usłyszeliśmy gdyby uderzenie bębna, tajemniczy ów głos wydmy piaszczystych. Uderzenie było wyraźne, to silniejsze, to znów słabsze na chwilę ustawało, a wkrótce znów dawał się słyszeć dźwięk fantastyczny.

Arabowie spoglądali po sobie z przestachem. Jeden z nich rzekł w swej mowie rodzinnej: „Biada, śmierć zawisła nad nami!“ I w tej chwili nagle pochylił się przyjaciel mój, którego jak brata kochałem i padł z konia na ziemię. Żar słoneczny pozbawił go życia.

I gdy przez dwie godziny napróżno starałem się towarzysza mego do życia przywołać, słyszałem wciąż przez ten czas dźwięk tajemniczego bębna, jednostajny i niepojęty, i wtedy to czułem bojaźń, strasliwą bojaźń, w obliczu tych ukochanych zwłok, wzgórz piasku, palonych przez słońce, przy odgłosie tego złowrogięgo

echa, w odległości dwustu mil od najbliższej francuskiej osady.

Tego dnia poznałem, co to jest bojaźń; lecz innym razem doświadczyłem jej w wyższym jeszcze stopniu.

W tem miejscu przerwał kapitan opowiadanie, pytając co jest właściwie za odgłos bębna i skąd pochodzi.

— Nie wiem tego — odparł nieznajomy. — Oficerowie, zaskoczeni tym odgłosem, przypisują go echu, które wskutek głębokości wydm piaszczystych staje się niezwykle rozległym i prawie nieskończonym. Możliwe także, że unoszony wiatrem piasek uderza o suchą trawę, tworząc ten odgłos, gdyż zauważono, że zjawisko to pojawia się w pobliżu małych ziół i roślin, wyschłych od słońca, jak pergamin. Byłoby to więc tylko złudzenie, fata morgana sluchu. Ale ja wtedy o tem nie wiedziałem.

Drugi raz zaznałem strachu w następnym wypadku. Zeszłej zimy znajdowałem się w lesistej okolicy północnej Francji. Niebo było tak przysłonięte chmurami, że noc zapadła o dwie godziny wcześniej niż zwykle. Wąską dróżką leśną, wśród sosen wstrząsanych wiatrem, szedłem w towarzystwie chłopca, który mi służył za przewodnika. A ponad wierzchołkami drzew widziałem chmury na nieboskłonie, pędzące tak szybko, jakby przed czem uciekały.

Przewodnik mój spoglądał od czasu do czasu na niebo i szeptał:

— Jakże to smutnie wygląda.

I opowiadał mi potem o ludziach, do których zdążaliśmy. Ojciec rodziny zastrzelił przed dwoma laty kłusownika i od tego czasu żyje w ponurem odosobnieniu wraz z swymi dwoma żonatymi synami.

Wtem noc zapadła ciemna, nie widziałem nic przed sobą, ani obok siebie. Gałęzie drzew potrząsane wichrem szumiały złowrogo w powietrzu.

Wreszcie ujrzałem światło, a wkrótce potem przewodnik mój zapukał do drzwi. Bojaźliwy krzyk kobiety był odpowiedzią, potem zapytał głos męski: kto tam? Przewodnik mój powiedział swe nazwisko, a gdyśmy weszli, przedstawił się mi widok, którego nigdy nie zapomnę.

Stary człowiek o siwych włosach i błędnem spojrzeniu, z nabita strzelbą w ręku, oczekiwał nas wewnątrz w kuchni, przy samych zaś drzwiach stało dwóch młodych chłopów, uzbrojonych w maczugi. W ciemnych kątach dostrzegłem dwie kobiety klęczące, z twarzą ku ścianie zwróconą. Po krótkich wyjaśnieniach złożył starzec strzelbę i kazał mię odprowadzić do przeznaczonego mi

pokoju. Gdy się jednak kobiety nie ruszyły z miejsca, rzekł nagle:

— Widzisz pan, oto tej nocy przed dwoma laty zastrzeliłem człowieka. Zeszłego roku przyszedł on mnie wołać za sobą i dziś oczekuję go znowu. I dodał dziwnym głosem: Stąd pochodzi ten nasz niepokój.

Staralem się go wedle możliwości uspokoić, opowiadałem różne dykteryjki i udało mi się prawie przytłumić gwałtowne wzruszenie tych ludzi. Przed kominem spał spokojnie, ułożywszy głowę na łapach, stary, na pół oślepy pies domowy. Na dworze bił wiatr o ściany domostwa i przez małe okienko obok drzwi, widziałem przy świetle błyskawicy drzewa miotane burzą. Mimo moich usiłowań, można było poznać, że ci ludzie nie mogli swej obawy całkiem pokonać i gdy przestałem mówić, słuchali niespokojnie głosów burzy. Znudzony tą śmieszną obawą chciałem się udać na spoczynek, gdy w tem stary leśniczy nagle zerwał się z krzesła, chwycił za strzelbę i głosem obłąkanego zawołał: „Oto on jest, słyszę go!“ Obie kobiety upadły przy ścianie na kolana, a synowie porwali za maczugi. Chciałem ich znów uspokoić, gdy wtem pies stary spojrzał swemi oślepleni oczyma w ogień i zawył straszliwie, wyciem, które samotnego podróżnego w nocy na odległej drodze przerazić jest zdolne.

Oczy wszystkich zwróciły się na zwierzę, które stało nieruchome na nogach i wciąż drżało, jakby wobec czegoś niewidzialnego, nieznanego. a włos jego jeżył się z przerażenia.

Leśniczy zawołał drżąc na całym ciele: „On go poznaje, on był przytem, gdy go zastrzeliłem.“ A do wycia psa przyłączyły się jęki i płacz kobiet. Około godziny wył pies nieruchomie na miejscu, wył jakby przez sen, który go niepokoił i wtedy to ogarnęła mnie poraż wtóry straszna trwoga. Czego się bałem, nie wiem, ale bałem się.

Byliśmy wszyscy przerażeni w oczekiwaniu jakiegoś strasznego wypadku, serce nam biło gwałtownie, a wyteżony nasz słuch ogarniał najdrobniejszy szelest. Pies począł biedz dokoła ścian i wył ciągle, doprowadzając nas do szaleństwa.

Przewodnik mój, ogromną trwogą do wściekłości doprowadzony, rzucił się na psa, otworzył drzwi prowadzące na małe podwórze i wyrzucił go na dwór.

Natychmiast zapanowała cisza, ale cisza ta była jeszcze straszniejsza. Nagle porwaliśmy się wszyscy z miejsc; na dworze przesunęło się coś obok muru, potem bliżyło się do drzwi i dotykało ich, jakby drżącą ręką. A potem znów przez

dwie minuty cisza. Teraz zaczęło drapać o ścianę jak dziecko paznokciami.

Naraz pokazała się w okienku biała głowa, z oczyma dziko bylszczącemi i poczęła niewyraźnie i żałośnie jęczeć.

Wtedy rozległ się straszny krzyk w kuchni i odgłos strzału — to stary leśniczy wypalił. Synowie jego rzucili się natychmiast do okienka i zakryli je stołem.

Przysięgam panom, że po tym strzale, na który nie byłem przygotowany, strach mnie tak gwałtowny ogarnął, tak ośwładał mem sercem i mózgiem, że myślałem, iż tej chwili nie przeżyję. Siedzieliśmy wszyscy obok siebie aż do rana, niezdolni słowa przemówić, ani z miejsca się ru-

żyć. Dopiero gdy światło dzienne przez szczeliny ścian do pokoju poczęło wkraczać, odważyliśmy się otworzyć drzwi na dwór.

Obok, przy murze domu leżał stary pies nieżywy, a w głowie tkwiła mu kula.

Wydostał się on tam z podwórza przez otwór, który wydrążył w desce ogrodzenia.

Tu umilkł nieznajomy mężczyzna z twarzą gdyby z brązu wykutą. Po chwili zaś dodał:

„Owej nocy nie znajdowałem się wprawdzie w żadnem niebezpieczeństwie, ale wołałbym przeżyć raz jeszcze owe wszystkie przygody, w których byłem bliskim śmierci, aniżeli przeżyć jeszcze raz tę chwilę, w której padł strzał na białą głowę przez okienko chaty.“ *Guy de Maupassant.*

:: HUMORYSTYKA ::

MIGAWKI.

JÓZEK.

I.

Józek rezydentem.

Bawię obecnie za Lwowem. Wczoraj rano otrzymałem kartkę od dozorca naszej kamienicy tej treści: „Jelmożne Pane! Proszy Zaraz przyjechać, bo w mieszkaniu państwa dziejom się straszne zeczy. Całuji ronczi *Filip Dozorca.*“

Bardzo mię ta kartka zdziwiła, bo wyjeżdżając ze Lwowa, zostawiłem klucz od naszego mieszkania memu kuzynowi Józkowi prosząc go, by od czasu do czasu zaglądał do mieszkania, a raz na tydzień kazał dozorczy wszystko trzepać. Ale znam Józka i wiem, że jest do wszystkiego zdolny.

Zadepeszowałem więc do kuzyna, prosząc go, by mnie oczekiwał na dworcu z kluczem od mego mieszkania, a sam wybrałem się bezzwłocznie do Lwowa. Żona kazała mi „nagadać“ Józkowi już zaraz na dworcu i bardzo żałowała, że nie może sama pojechać, aby mu uszy nakręcić.

Przyjechałem do Lwowa, obszukałem cały dworzec — Józka nie było. Pomyślałem, że albo nie otrzymał mojej depeszy, albo się szelma kryje. Nie zostawało mi nic innego, jak jechać do miasta i szukać Józka.

Józka szuka się w kawiarniach, mianowicie we wszystkich, bo wszędzie bywa. Przez dwie godziny uganiałem się po naszych kawiarniach i wszędzie mówiono mi, że „pan doktor był przed

chwilą, ale poszedł“. Pomyślałem, że może go znaleźć w jego mieszkaniu, ale mi tam powiedział dozorca, że „pan doktor od tygodnia nie był w domu“. Idę więc do mego mieszkania, aby bodaj od Filipa dowiedzieć się, co się dzieje. Dozorca rozkrzyżował ręce;

— Panie — powiada — ja nic nie znam, najpan idzie i sam się popatrzy. Przed chwilą młody pan doktor dał mi klucz od mieszkania, taj mówi, że jakby się pan pytali, gdzie on jest, aby powiedzieć, że on wczoraj umarł.

Odebrałem klucz i udałem się do mego mieszkania. Straszny widok przedstawił się moim oczom. Wszedłem do przedpokoju.

Cały przedpokój zabarykadowany krzesłami i fotelami: kilkanaście krzeseł i foteli jedno na drugim aż pod sam sufit. Co to miało za cel? Zacząłem ostrożnie rozbierać barykady i wystawiać krzesła na kurytarz, aby się mógł przedostać do pierwszego pokoju, do naszej jadalni. Pracowałem kilkanaście minut, zanim udało mi się przejść do pierwszego pokoju. Ten pokój wyglądał jeszcze bardziej zagadkowo. Znikł gdzieś stół, który stał w środku, a pod ścianami były ustawione fotele i kanapki, niby w szkole tańców. Na posadzce porozrzucane rozmaite kawalki garderoby wszystkich trzech rodzajów, najwięcej damskiej. Również znikła gdzieś lampa, która przedtem wisiała nad stołem, a w jej miejscu wisiał gruby sznur konopiany, jakby z niego dopiero co odcięto wisielca. Wytrzeszczyłem na to wszystko oczy i nie rozumiałem, jaki był cel tego urządzenia. Ale idę dalej.

W następnym pokoju „miły nieład“. Na biurku założonem papierami i książkami pełna miednica, obok niej ręcznik, mydło, szczoteczka i opaska do wąsów, szczoteczka do zębów i jakiś proszek. Na fortepianie pościel, niby na łóżku. Widocznie ktoś spał na fortepianie. Tak samo zaimprovizowane łóżka na otomance i pod trzema ścianami na podłodze. A więc pięć osób tu spać musiało. Pod fortepianem kilkadziesiąt próżnych butelek i kilka syfonów. Z pod wieka fortepianu wystaje rękaw koszuli nocnej.

Otwieram wieko i znajduję w pudle fortepianowem cały skład brudnej bielizny męskiej. U okien story zdarte, okna przesłonięte dywanami. Na podłodze kilka tysięcy niedopalonych papierosów, kilka skarpetek, brzytwa i pędzel do mydlenia. Na środku stoi wanna z wodą, po wodzie pływają skrypta prawnicze, nierozcięty tomik poezji i jakieś świadectwa szkolne.

Chcę wejść do trzeciego pokoju, ale zamknięty Pokój ten, stanowiący naszą sypialnię, ma osobne drzwi do kurytarza, ale i te drzwi są zamknięte. Wołam stróża.

Co tu się działo? Czemu tu takie ładne porządki?

— Pane — powiada stróż — ja nic nie znam, ten młody pan doktor mówił, co on jest teraz rezydentem od tego mieszkania i robił różne figle.

— Powiedźcie mi naprzód, ile osób tu spało?

— E, dużo, dużo. Przedwczoraj był nawet cały bal. Przyszło dużo panów i parę panienek gdzieś z Coloseum, czy z cyrku, taj przysłali mnie i żonę po piwo i po inne rzeczy do jedzenia, taj picia i dwóch muzykantów było, a potem zaczęli tańcować i śpiewać, to aż mnie gospodarz posłał powiedzieć, żeby było cicho, bo wymówi mieszkanie. A oni na to w śmiech, taj wiwat krzyczeli, taj tak do samego rana. Jedna panna kazała sobi zrobić taki huśtawki na suficie, bo już takoj była pijana, to zdjęli lampę i zrobili huśtawkę, a ona pokazywała sztuki i rzucała flaszками. Potem się rozeszli w piątej rano, a potem wrócili aż wieczór ale już sami panowie bez panienek i dzisiaj spało u nas dziesięć panów, po dwa na jednym miejscu — ja sam im pościelił..

— A czemu ostatni pokój zamknięty?

— E, bo pan doktor ten pokój wynajął jakiejs młodej parze i to nawet bardzo tanio. Wystawił kartkę i wynajął im ten pokój aż na cztery miesiące za 40 reńskich z meblami, żeby tylko z góry zapłacili i oni mu zapłacili i tu już mieszkają.

— Zwaryował?! Przecież my wracamy za parę tygodni!

— A ja nie wim — Pan doktor mówił, że pan jego zrobił rezydentem od tego mieszkania, to on ma prawo wynająć, nawet mówił, że go pan sam prosił, żeby wynajął, jak się ktoś trafi.

— Ależ to nasza sypialnia, gdzież my spać będziemy?

— Nic nie wim.

Szczęście Józka, że go wtedy nie miał pod ręką, bo byłbym go udusił.

— Mój Filipie — powiadam przeproście pana gospodarza w moim imieniu i powiedzcie mu, że to się już nie powtórzy. A wy wyszukajcie mi prędko tego pana doktora.

— Gdzie tam, panie, jego niema we Lwowie, dziś rano dostał jakiś telegram, i mówił, że musi wyjechać do Krakowa. To naprzód zawołał handelesów i tanio wysprzedał pańskie ubrania, a jakieś nowe sam ubrał — mnie oddał klucz i kazał panu powiedzieć, że on umarł.

Klewe.



Nad Wartą.

— Antek?

— A co co?

— Wiesz ty, o czym ja myślę?

— Niech mnie gęś kopnie, że nie wim.

— Ja myślę, że ta Warta to całkiem jak nasze jaśnie państwo.

— Nie gadaj?

— A no, bo jak tylko słońce trochę zaświeci, zaraz ci rusza Warta za granicę.



Jeżeli...

Pani bankierowa udaje się do znanego portrecisty z prośbą o wykonanie jej portretu.

— Ile to będzie kosztowało? — pyta nareszcie.

— Trzysta rubli.

— A gdybym chciała mieć przy sobie swego najmłodszego synka?

— O sto rubli więcej.

Pani bankierowa się krzywi i dodaje:

— A jeżelibym go trzymała na kolankach?



Dziecko wieku.

— O pani, oddaj mi swoją rękę, a po ślubie będę cię nosił na rękach!

— Co to za zabawa! Wolałabym jeździć na gumach!..



Bibułki w książeczkach „Pobudka“

wyrobu

== Mra W. BEŁDOWSKIEGO w Krakowie ==

są pierwszej jakości i nie są glicerynowane.

Wyrabiam je, by wyprzeć z naszego kraju tego rodzaju obce wyroby,
jak: Griffon, Club, de Delice itd. w cenach po 2, 4 i 6 hal. —

Do nabycia w trafikach. — Na żądanie wysyłam okazy darmo.

Rządowo uprawniona

Fabryka wód mineralnych sztucznych i specjalnych leczniczych
pod firmą

..... **K. RZAĆA i CHMURSKI**

w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy L. 4

wyrabia pod kontrolą Komisyi Przem. Tow. Lek. polecane przez toż Tow. **Wody mineralne sztuczne**, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshüblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież **specjalnie lecznicze**, jak: Litową, Bromową, Jodową, Żelazistą, Kwaśną, oraz **Wody lecznicze normalne** z przepisu prof. **Jaworskiego**. Sprzedaż częściowa w aptekach i drogeryjach. **Cenniki na żądanie franko.**

Ważne dla swoich i przejezdnych!

Restauracya
i Mleczarnia Warszawska

Władysława Hajto

ul. Wiślna L. 8 (róg ul. Gołębiej)

poleca znakomitą kuchnię mięsną i jar-
ską — **Abonament miesięczny na**
śniadania, obiady i kolacye. — Na żąda-
nie wysyła się obiady do domów.

☞ **Dzienniki krajowe i zagraniczne.**

Bilardy najnowszej konstrukcyi. ☞

Lokal otwarty od 6 rana do 1 w nocy.

Najlepsza herbata,
Najtańsza herbata,
Najsmaczniejsza herbata

jest z marką

„DZWON“.

$\frac{1}{4}$ f. okruchów z herbat 70 hal.

$\frac{1}{4}$ f. liściowej herbaty . . 1 K.

$\frac{1}{4}$ f. Ceylońskiej herbaty 1,20 K.

u firmy

Ag. LISOWSKI

„FORTUNA“

KRAKÓW, Sukiennice 23.



Tylko dobry gramofon

może w kółku domowym sprawić wielką przyjemność i zupełnie zastąpić wszelkie instrumenty. — Ponieważ posiadam

gramofony

li tylko z pierwszorzędnych fabryk i sprzedaję takowe po cenach oryginalnych fabrycznych, mogę je zatem Szanownej Publiczności najsumienniejsze polecić. Proszę się osobiście przekonać, **bez przymusu kupna!**

Płyty do gramofonów

zupełnie czysto i wyraźnie grające, z dwóch stron ogramowane już od 2,00 mk. począwszy.

— Fonografy i waliki w wielkim wyborze —

„Camera“ Z. Śniegocki

Pierwszy specjalny skład gramofonów i aparatów fotograficznych.

Reparacje gramofonów tanio i dobrze!
Obszerne katalogi z ilustracjami na życzenie darmo w dom.

Podróże zbiorowe: Programy bezpłatnie.

Riwiera: Mediolan — Genua — San Remo — Mentona — Monte Carlo — Nicea — Cannes. Odjazd 1-go lutego. Cena 400 marek. 13 dni w podróży.

Włochy: Południowa Francja — Riwiera — Cała Włochy — Sycylia. Cena 780 mk. — 30 dni. Odjazd 18 lutego.

Algier — Tunis — Biskra (Sahara). Odjazd 7 marca.
Hiszpania. Odjazd 5 kwietnia. **Morze śródziemne,** Ateny, Konstantynopol. Odjazd 6 kwietnia

Biuro podróży J. Wierzbicki & Sp. München, Dachauerstr. 4

Co dopiero wyszła w 3-ciem wydaniu znakomita książka kucharska

Makarego 730 obiadów

wielkich, średnich i małych, mięsnych i postnych z opisem śniadań i wieczerzy, tudzież spiżarni, sklepu i kuchni dla chorych, oraz pieczenia ciast i robienia konfitur. — Wielki format, papier gruby, druk bardzo wyraźny, str. 360. Cena bez oprawy 2,20 mk., z opr. 3,00, porto 20 fen. Należytość uprasza się nadsyłać naprzód przekazem do

Księgarni Katolickiej, Poznań, ulica Jezuitska 5.

U w a g a: Makary był jednym z najlepszych kucharzy polskich, który sztuki gotowania uczył się w Francji i Anglii, a wróciwszy z podróży po Europie, osiadł w Poznaniu i zarządzał kuchnią w Bazarze, największym hotelu tego miasta. — Potrawy w jego książce podane nie są wypisane z innych dzieł, lecz oparte na własnym, długoletnim doświadczeniu i dla tego każdy przepis jest bardzo dobry i zaspokoić może największe wymagania. — Można zamawiać także i za zaliczką pocztową.

Rozszerzajcie pismo nasze!

Dr. med. Antoni Szac,

lekarz specj. w chorobach kobiecych i położnictwie

były pierwszy asystent tajnego radcy profesora dr. Ehlersa i profesora dr. Krukenberga w Brunświku i były asystent prof. dr. Strassmanna w Berlinie,

mieszka w Berlinie W.,

Bayreutherstr. 32, wysoki part.
tuż przy Wittenbergsplatz.

Ważne dla podróżujących!

Osobom przybywającym na czas dłuższy lub krótszy do Berlina pozwalam sobie polecić **pokoje** wygodnie urządzone, świeżo odnowione po cenie przystępnej. Dobra polska usługa, na życzenie całkowite utrzymanie. Kuchnia zdrowa i smaczna, dla chorych z zastosowaniem przepisów lekarza.

Ludwika Biedermann,

Berlin, Dessauerstr. 35, II.

4 minuty od Poczdamskiego placu i Lipskiej ulicy.



preparaty
arystokratynowe

niezrównane
środki kosmetyczne

iak



Arystokratyna

mydło, krem, puder,
proszek do mycia

fabryki perfum i kosmetyków

aptekarza

Z. Rittera Następcy

Poznań O. I

są podług obecnego stanu wiedzy niezbędne do pielęgnowania pici.

Złoty medal
Lwów 1908

Złoty medal
Poznań 1907

Do nabycia wszędzie.

Redaktor odp. na Galicyą Teofil Cholewicz w Krakowie.
Czcionkami „Dziennika Poznańskiego.“ — Wydawca
A. Marweg w Poznaniu. Redaktor odp. Józef Zieliński
w Poznaniu.

Pięcioraki sposób używania znakomitych, prawnie zatwierdzonych bezalkoholowych **MANRU : AZY : DRUŻBY**

wynalazku i wyrobu

B. Kasprowicza w Gnieźnie.

LIMONADA

z Manru, Azy lub Drużby.

- 1) 2 części jednego z tych trzech syropów 8 części wody
- 2) 2 części jednego z tych trzech syropów 4 części wody
- 4 części wody selterskiej

Podaje się także z kawałkiem lodu i słomką.

PUNCZ

z Manru, Azy lub Drużby.

- $\frac{1}{8}$ część jednego z tych trzech syropów $\frac{2}{3}$ części gotującej wody

Kto niechce zupełnie bez alkoholu pić, dobiera kilka kropli araku lub koniaku.

Znakomity napój osiąga się dolewając do herbaty zamiast cukru jednego z tych syropów, a przede wszystkim **M·A·N·R·U**, które jest najlepsze!



Papier Słowackiego.

Komitety obchodu setnej rocznicy urodzin **J. Słowackiego** we Lwowie, zwraca się do P. T. publiczności z uprzejmą prośbą by przy zakupie papierów listowych żądała w sklepach papierów **Słowackiego** wyrobu jedynej w kraju fabryki

S. W. Niemojowskiego we Lwowie.

Część dochodu z rozsprzedaży tego papieru przeznaczoną jest na fundusz budowy pomnika poety, a ponieważ ceny w niczem się nie różnią od cen innych papierów, przeto P. T. publiczność zakupując papier **Słowackiego**, bez żadnego dla siebie uszczerbku przyczyni się do wystawienia pomnika poecie.

Papier **Słowackiego** jest do nabycia we wszystkich sklepach we Lwowie, w Krakowie i w miastach prowincjonalnych, a gdzie by go nie było, zwrócić się należy wprost do fabrykanta **S. W. Niemojowskiego we Lwowie.**

„Quo vadis“

Pensjonat polski dla przejezdnych w Wrocławiu

w samym centrum miasta. Pokoje zaciszne już od **2 marek**. — Oświetlenie elektryczne.

Telefon 11007.

Telefon 11007.

Wrocław II, Blumenstr. 10, I piętro.

W. NIEDBALSKI, Poznań.

Ulica Rycerska 2, przy placu Wilhelmowskim. Telefon 2220.

Pierwszorządny skład wszelkich delikatesów, konserw, owoców południowych, dziczyzny i ryb. Handel win — winiarnia.

„Skarb Architektury w Polsce“

najnowsze wydawnictwo, artystyczne podające naczelniejsze zabytki kraju naszego, wychodzi zeszytami w Krakowie. Tom I, ukończony. Obecnie wychodzi tom II. Przedpłata na cały tom o 100 tablicach 30 Koron.

Redakcja i Administracja: Dr. J. S. Zubrzycki, Kraków, ulica Kilińskiego I. 4.

Rodakom donosimy uprzejmie, że założyliśmy w Ostrzeszowie

Fabrykę korków

połączoną z zastępstwem najlepszych maszyn do korkowania, do czyszczenia butelek, fabryk kapsulek, gumy, laków i t. p.

Zapewniając, iż usilnie starać się będziemy o zadowolenie naszych odbiorców, prosimy o poparcie nowej gałęzi rodzimego przemysłu

Z poważaniem

Fabryka korków „SUBERANIA“

Właściciele:

S. Marweg & A. Wodniakowski

Telefon Nr. 7. w Ostrzeszowie (Schildberg). Telefon Nr. 7.

Nakład **24.000** egz. 8

Magazyn mebli

i zakład tapicersko-dekoracyjny

Kajetana Dudziaka

W KRAKOWIE, ul. Floryańska 1 36, I. p.

WAŻNE DLA PAŃ! Odznaczony dyplomem honorowym
magazyn obuwia wyłącznie damskiego Wincentego Wejersa

krajowego nauczyciela kursów szewskich
przy ulicy św. Tomasza 1. 9, (róg ulicy Sławkowskiej 1. 8.) w Krakowie.
Poleca **wielki zapas obuwia** w najnowszych fasonach, jak: francuskie, angielskie, polskie czyli warszawskie i amerykańskie, ze skór oskaria, chevreau, fok, kangury i antylopy. Wykonanie na podstawie najnowszej nauki. Przyjmuje wszelkie zamówienia, na zwyczaj wymienione fasony, gwarantując za lekkość, trwałość, elegancję i precyzję w wykonaniu tychże. Prawdziwie godne polecenia fasony do zobaczenia w moich wystawach sklepowych. Zamówienia z prowincji uskutecznią się punktualnie na czas oznaczony, zaś na miarę wystarczy stary bucik.

Biuro Dzienników MARYANA HUPCZYCA

Kraków, ul. Wiślna 2 - Telefon 340
przyjmuje prenumeratę oraz ogłoszenia
do wszystkich dzienników.
Wielki wybór artystycznych kart z widokami.

Pierwszy zakład bandaży-ortopedyczny HYNKA BOGDANOWICZA

w Krakowie, ul. Floryańska 9 (w podwórzu)

poleca w wielkim wyborze i najtaniej:

■ Pasy rupturowe pachwinowe, nerkowe i brzuszne.	■ Poduszki i irygatory, pończochy gumowe, strzykawki, wate, aparaty inhalacyjne, suspensory i t. p.
■ Sznurówki i szelki do prostego trzymania się.	■ Pasy higieniczne miesięczne systemu Teuffla.
■ Przyrządy do równania różnych części ciała.	

Fabryka
pieczęci
kautczukowych
St. Niemczyk
KRAKÓW
Sukiennice 10. B.

Przy zakupach prosimy się odwoływać na ogłoszenia w piśmie naszym.

Polskie
firmy,

które chcą się zaprowadzić w kołach naszych czytelników winne ogłaszać w bardzo rozpo-
wszechnionym

Tygodniku
Narodowym.